

Anne McAllister

**Wieczny
ogień miłości**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rhys Wolfe potrzebował gorącego prysznica, zimnego piwa i dwudziestu czterech godzin snu. Dokładnie w tej kolejności.

W Nowym Jorku była szósta rano. Dudniły autobusy, trąbiły klaksony, miasto budziło się do życia. A Rhys padał z nóg.

W głowie miał całkiem inną godzinę. Właściwie nie był nawet pewien, jaki jest dzisiaj dzień tygodnia. Pamiętał tylko, że zmieniał samoloty, pociągi i samochody, a teraz po prostu bardzo chciało mu się spać.

Włożył klucz do zamka ozdobnej, kutej bramy przed tarasem prowadzącym do jego parterowego apartamentu, zerkając jednocześnie w okna mieszkania dwa piętra wyżej.

Czy Mariah już wstała? A może leży i czeka?

Tak. Na pewno. Przez ostatnie dziewięć tygodni stała przy oknie i czekała na niego. Czyżby naprawdę ją obchodził...?

Przekręcił klucz, otworzył bramę, a potem drzwi do swego mieszkania. Na tym właśnie polegał problem. Jej naprawdę zależało na tym związku.

Mariah była jego przyjaciółką. A on jej przyjacielem.

Właściwie kiedyś nim był... A teraz?

Trzasnął drzwiami, rzucił miękką torbę na podłogę, zamknął oczy i oparł się o framugę, poddając się znużeniu.

Nie było go w domu od dwóch miesięcy. Od czasu... Od czasu, kiedy to obudził się u boku sąsiadki z góry. Swej przeziębionej i uroczej przyjaciółki, Mariah.

- Boże, co za bałagan! - wymamrotał.

Zazwyczaj chętnie wracał do domu, by uciec od stresu, jaki wiązał się z jego odpowiedzialną pracą w specjalistycznej jednostce przeciwpożarowej. I zwykle nie mógł się doczekać, by zadzwonić do Mariah i dowiedzieć się, co robiła przez ostatnie tygodnie.

Westchnął, przeciągnął się i zaczął rozpinać koszulę.

Dziś nic miał ochoty dzwonić do Mariah. Nie wiedział, co jej powiedzieć. Seks z kobietą, na której ci zależy, bardzo komplikuje sprawy i zazwyczaj prowadzi do kłopotów... Stwarza pole do nierozsądnych oczekiwań. Takich na przykład, jak poważny związek... lub małżeństwo. Na tym właśnie polegał problem.

Gwałtownie potrząsnął głową. Zdjął koszulę i skierował się do łazienki. Mariah musiała sobie z tego zdawać sprawę...

Świetnie wiedziała, co on myśli o małżeństwie. Wystarczająco często wypowiadał się na ten temat.

Rhys Wolfe chciał uniknąć małżeństwa, zobowiązań i odpowiedzialności. Już raz tego doświadczył. I nie zamierzał powtarzać błędów.

Mówił o tym każdej kobiecie, którą spotkał. Dla zasady. Na wszelki wypadek, aby nie miała złudzeń. To był swoisty środek ostrożności i przejaw zdrowego rozsądku. Przynajmniej żadna z partnerek nie mogła powiedzieć, że jej nie ostrzegął.

Wszystkie kobiety, które decydowały się na romans z Rhysem Wolfem, znały jego punkt widzenia na małżeństwo. Rozumiały, że seks powinien być rozrywką i przyjemnością bez żadnych zobowiązań.

Rhys nigdy nie sypiał z kobietami, dla których mogłoby to mieć znaczenie. To była pierwsza zasada samoobrony - zasada, którą ustanowił osiem lat temu i której nigdy nie złamał.

Aż do tamtej nocy, dziewięć tygodni temu. To stało się zaraz po śmierci Jacka...

Jack...

Właśnie zakończył pierwsze zadanie bez przyjaciela. Bez twardego, kompetentnego i zawsze uśmiechniętego Jacka. Bez człowieka, którego zawsze podziwiał i który wszystkim wydawał się nieśmiertelny.

„Szczęściarz Jack” -jak nazywali go przyjaciele ze specjalistycznej ekipy zwalczającej pożary szybów naftowych i platform wiertniczych. „Pójdę z Jackiem - mówiono zawsze, gdy niebezpieczeństwo było większe niż zwykle. - Jack ma szczęście”.

Ale dziesięć tygodni temu na platformie wiertniczej na Morzu Północnym szczęście opuściło Jacka. I choć nikt nie zawinił i wszyscy stanęli na wysokości zadania, Jack stracił życie w walce z żywiołem. Po prostu wybiła jego godzina. Rhys nadal nie potrafił zrozumieć, jak to się mogło stać.

Pięć dni później Rhys - wstrząśnięty, rozstrojony i nadal oszołomiony - wrócił z pogrzebu swego najlepszego przyjaciela. Opłakiwanie Jacka było straszne - ale stokroć gorsze były wspomnienia, które ożyły ze zdwojoną mocą.

Wciąż na nowo rozpamiętywał tamte tragiczne zdarzenia, choć minęło już osiem lat. Wielki pożar, śmierć, a potem pogrzeb ukochanej żony.

Sarah... Miłość jego dzieciństwa...

Ziemski czas Sarah nie mógł przecież tak szybko dobiec końca! Tego Rhys był pewien. Nie musiała umierać.

Gdyby tamtego wieczoru był w domu, zamiast pracować po godzinach... Gdyby był z nią, jak przystało na odpowiedzialnego męża, Sarah i ich nie narodzone dziecko żyliby dzisiaj. Ale jego tam nie było...

Zajmował się wówczas rodzinnym biznesem. Był świeżo upieczonym absolwentem uczelni i chciał udowodnić ojcu i swemu starszemu bratu, Dominikowi, że potrafi pracować tak długo, jak oni, z takim samym oddaniem i w równym stopniu

efektywnie. Nawet nie przyszedł do domu na obiad. Pracował bez przerwy, zadzwonił tylko do Sarah i powiedział, że wróci późno i żeby nie czekała.

Nie czekała. Położyła się tego wieczoru wcześniej, zgodnie z zaleceniem lekarza. Ale najpierw zapaliła świecę. Tak stwierdził dowódca strażaków.

„Zostawię dla ciebie światło” - powiedziała Rhysowi.
Zostawiła świecę.

Spała, gdy w mieszkaniu wybuchł pożar. Nic obudziła się już nigdy. Tej nocy stracił i ją; i ich dziecko.

Rhys długo czuł bezsilność. Nic nie mógł zrobić, żeby odzyskać utraconą rodzinę. Wreszcie zrozumiał i zaakceptował smutną prawdę. Żył jednak z bólem i poczuciem winy.

Jego ojciec wpadł w osłupienie, gdy Rhys oznajmił, że porzuca pracę w rodzinnej firmie, by zostać strażakiem.

- Po co, u diabła? - zrywał się Douglas Wolfe. - To nie przywróci Sarah życia.

Dobrze o tym wiedział, ale czuł, że w tej pracy odnajdzie ukojenie. Musiał ciągle walczyć z demonami, które zabrały mu żonę. Musiał robić, co w jego mocy, by wygrać bitwę, którą już raz przegrał. To najlepszy sposób, by zwalczyć przytłaczające poczucie winy.

Był dobrym strażakiem. Upartym, skoncentrowanym, potrafiącym zachować zimną krew w obliczu niebezpieczeństwa. W ten sposób odprawiał pokutę. A może raczej usiłował zapomnieć o największej życiowej tragedii.

Przez osiem lat zdołał uporać się z demonami przeszłości. Tego był pewien. Zaczął nowe życie. Miał nowy apartament na West Side, z dala od East Side, gdzie mieszkał wraz z Sarah. Miał przyjaciół. I od czasu do czasu spotykał się z kobietami.

Nie zamierzał się jednak żenić po raz drugi. Nigdy. Nie pozwalał sobie na żadną zażyłość z przedstawicielkami płci

pięknej Z tym problemem nadal nie mógł się uporać. Nie potrafił nikogo pokochać tak, jak niegdyś pokochał Sarah. Nadał czuł ból.

Nigdy już nikogo nie pokocha...

Zawsze traktował te sprawy bardzo lekko. Miał przyjaciół, miewał kochanki. Jednak nigdy nie miał kochanki, która byłaby jednocześnie jego przyjaciółką. Aż do tej pory.

Aż do chwili, gdy wrócił do domu po śmierci Jacka... Tamtej nocy wspomnienia i żal całkiem nim zawładnęły. Stracił samokontrolę. A Mariah, niczego nie podejrzewająca słodka Mariah, zaskoczona, że u niego pali się światło, zatrzymała się i zapukała do drzwi.

Niezbyt wiele pamiętał z tego, co wydarzyło się potem. Próbował zapomnieć. Przez ponad dwa miesiące starał się nie wracać myślami do tamtej nocy!

Nie chciał pamiętać, jak trzymała go w ramionach, jak go całowała i pocieszała. Pozwoliła, aby on - mężczyzna, który nikogo nie potrzebował - tulił się do niej jak dziecko! Całe jego ciało szukało u niej pocieszenia. Rozpaczliwie i zachłannie.

Z tego, co zapamiętał jego udręczony umysł, Mariah z nieskrywaną namiętnością ofiarowała mu to, o co ją tak żarliwie prosił...

Zacisnął zęby. Nie mógł o tym myśleć. Nie mógł pozwolić sobie na takie wspomnienia. To nie powinno się już nigdy powtórzyć. Nie dopuści do tego. Zależało mu bardzo na Mariah jako na przyjaciółce. Nie pozwoli, by ten układ zamienił się w coś więcej.

Nadal z zakłopotaniem przypominał sobie chwilę, gdy obudził się obok niej w łóżku. Nigdy wcześniej nie przespał całej nocy z żadną kobietą prócz Sarah. To było zbyt intymne. Zbyt wiele mogło znaczyć.

Jednak tej nocy spał z Mariah. Gdy bladym świtem otworzył

oczy, okazało się, że Mariah leży wtulona w niego, z policzkiem opartym o jego ramię, z ręką przerzuconą przez jego brzuch i biodro.

Wprost bał się oddychać. Nie śmiał się poruszyć. Ale musiał. Wiedział, że musi stąd wyjść tak cicho, by się nie obudziła. Cóż by jej powiedział, gdyby otworzyła oczy? Nie wiedział tego ani wówczas, ani teraz.

Przez dziewięć tygodni próbował znaleźć właściwe słowa. I wciąż miał nadzieję, że przyjdzie mu coś do głowy, gdy zobaczy Mariah. A może ona przejmie inicjatywę. Może potraktuje to lekko, zlekceważy całą sytuację. Może powie, że nie miało to dla niej znaczenia, a tym samym wyzwoli go z sideł, w które sam się wpakował?

Westchnął pełen obaw. Mariah mogła tak się zachować. Należała do kobiet wspianałomyślnych, szlachetnych. Była miła... Rhys bardzo ją za to lubił.

Lubił ją również dlatego, że w niczym nie przypominała Sarah. Była wysoka i smukła. Gibka i sprężysta, jak często o niej myślał. Była silna. Nie tak drobna i krucha jak Sarah... I czerpała z życia pełnymi garściami, w przeciwieństwie do delikatnej, nieśmiałej i raczej biernej Sarah.

Włosy także miały inne. Sarah nosiła krótkie włosy blond, które mógł wichrzyć palcami. Mariah natomiast miała długie, kasztanowe włosy, które, jak pamiętał, owijał sobie tamtej nocy wokół palców.

Potrząsnął głową, starając się odepchnąć wspomnienia.

Powinien myśleć o Mariah jak o swojej przyjaciółce. Sprawy powinny wrócić do normy, do ustalonych zasad. Na pewno obydwójce tego właśnie chcieli. Nigdy nie zrobiła żadnego gestu, który dawałby podstawy do przypuszczeń, że chce czegoś więcej. To właśnie dlatego czuł się przy niej bezpiecznie i swobodnie. Była jego przyjaciółką. Od samego początku.

Od pierwszego spotkania, gdy zaprosiła wszystkich sąsiadów na poczęstunek, poczuł się tak, jakby od dawna był jej przyjacielem. Zawsze wesoła, skora do rozmowy, była doskonałą sąsiadką. Przebywanie w jej towarzystwie należało do przyjemności. Lubił z nią uprawiać jogging, chodzić do kina, do nowo otwartych knajpek czy galerii.

I Mariah nigdy nie żądała więcej.

Nie chciał tego utracić. Z pewnością ona również... Przynajmniej taką miał nadzieję. Przeczesał dłonią potargane włosy i ziewnął.

Postanowił wziąć prysznic, zdrzemnąć się, a potem wyjaśnić sytuację. Powie, że bardzo sobie ceni jej przyjaźń, nie chciałby jej stracić i pragnie, by wszystko pomiędzy nimi było jak dawniej. Potem po prostu uśmiechnie się szeroko i spyta: „Czy wjedziesz ze mną na Empire State Building?”. A ona zrozumie wówczas, że nic się nie zmieniło.

Trzy lata temu, gdy pochodząca z prowincji Mariah odkryła, że Rhys, rodowity nowojorczyk, nigdy nie był na szczycie wieżowca Empire State Building, zaprosiła go na wspólną eskapadę. Odmówił. Raz. Dwa razy. Odmówił przynajmniej z tuzin razy. Aż w końcu, gdy kiedyś wracali z kina, udało jej się go wreszcie przekonać. Złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Trzydziestą Czwartą Ulicę.

- Nie szalej! - protestował.

- To wspaniałe przeżycie - przekonywała. - Magiczne. Musisz zobaczyć.

Miała rację. Widok był urzekający. Była piękna, bezchmurna noc, a w dole Nowy Jork lśnił niczym tysiące diamentów rozsypanych ręką olbrzyma.

Widok zapierał dech. Rhys nie mógł uwierzyć, że przez tyle lat ani razu tu nie był. Teraz sam nalegał, by zostali jeszcze chwilę dłużej.

Potem przychodzili tam wiele razy. Właściwie zawsze, gdy wracał po akcji do domu. Z wyjątkiem ostatniego razu...

Rhys znów westchnął na tamto wspomnienie. Starał się wymazać je z pamięci. Ostatecznie to nic miało znaczenia. Było, minęło.

Skierował się w stronę łazienki. Gdy mijał kuchnię, jego uszu dobiegło kuszące mruczenie lodówki. Wizja butelki zimnego piwa zamajaczyła mu przed oczami. Wiedział jednak z doświadczenia, że piwo smakuje o wiele lepiej po prysznicu.

Zdjął buty, szybko ściągnął skarpetki, koszulę i szorty, zostawiając je tam, gdzie upadły. Nago dotarł do łazienki i odkręcił prysznic.

Strumienie wody przynosiły ulgę zmęczonemu ciału i pozwalały uspokoić myśli.

Gorący prysznic był zdaniem Rhysa najlepszą rzeczą, jaką wymyślił cywilizowany człowiek. Brał krótkie, zimne prysznice w pracy, ale gdy wracał do domu, pragnął gorącej wody. Dużo gorącej wody.

Naprawdę tego właśnie potrzebował, aby spłukać pozostałości ognia, z którym ostatnio walczył. Już po chwili poczuł się lepiej. Bardziej ożywiony. Namydlając smukłe, sprężyste ciało zaczął gwizdać. Potem rozprowadził szampon po włosach i energicznie wymasował głowę. Gdy już upewnił się, że spływająca woda jest całkiem czysta, zakręcił kran, chwycił ręcznik i zaczął się wycierać.

Umył jeszcze zęby i przesunął dłonią po zarośniętej szczęce. Nie golił się od co najmniej pięciu dni - nie miał czasu. Postanowił poczekać z tym jeszcze dwanaście godzin.

Wycierając ręcznikiem głowę, wszedł do sypialni. Nagle zderzył się z czymś miękkim, a jednocześnie przyjemnie zaokrąglonym.

- Co u licha! - Odskoczył do tyłu, zdjął ręcznik z twarzy

i nagle doznał wstrząsu. Na chwilę nawet stracił oddech. - Mariah...?

Ostatnia osoba, jaką chciałby dziś zobaczyć, stała oto w drzwiach jego sypialni, ubrana w skąpą niebieską koszulkę. Kasztanowe włosy miała zmierzwione i potargane od snu, a twarz bladą. Widok Rhysa wyraźnie przyprawił ją o szok. W rękę trzymała ubranie.

- Co tu robisz, u diabła? - zapytał.

Mariah miała ochotę spytać go o to samo. Z głębokiego snu wyrwały ją dziwne dźwięki. Początkowo myślała, że nadal śni. Kroki. Lejąca się woda. Potem gwizdanie.

Gwizdanie nie mogło jej się śnić!

Właśnie wtedy obudziła się na dobre. Dłuższą chwilę leżała w łóżku, próbując wszystko uporządkować. Potem w nagłym przypływie jasności umysłu oraz wszechogarniającej paniki zdała sobie sprawę, że to może być tylko Rhys!

Poderwała się z łóżka. Chwyciła swoje rzeczy i skierowała się w stronę drzwi. Ubierze się we własnym mieszkaniu. Tam się uspokoi i przygotowuje do rozmowy...

Wpadła na niego, gdy wychodził z łazienki. Miał na sobie tylko ręcznik. I to w dodatku zarzucony na głowę!

Zdjął go teraz i okręcił wokół pasa. Zaskoczony patrzył na Mariah.

- Przepraszam... - Mariah z trudnością przełknęła ślinę. - Nie chciałam cię zaskoczyć. Zawsze mówiłeś, że podczas twojej nieobecności... mogę korzystać z mieszkania, jeśli będę miała gości... Moja kuzynka, Erika, przyjechała ze swoją rodziną. Pomyślałam, że będzie prościej, jeśli oddam im swoje mieszkanie... Nie miałam pojęcia, że dzisiaj wrócisz...

- Oczywiście, wszystko w porządku - powiedział wesoło i machnął ręką. - Nic ma problemu. Wracaj do łóżka. Ja położę się na sofie...

- Nie. - Tego nie chciała. Musiała z nim porozmawiać, aby oczyścić atmosferę. Ale przecież nie teraz... Nie w taki sposób...
 - Jesteś zmęczony - powiedziała. - Prześpij się we własnym łóżku. I tak już miałam iść. Zmienię pościel i już mnie nie ma.

Przez cały czas gdy ścieliła łóżko, czuła na sobie wzrok Rhysa. Żałowała, że nie poszła najpierw do łazienki, by się ubrać. Wiedziała, że jej koszula nocna jest bardzo krótka. Ale nie była wcale pewna, czy w ogóle zwrócił na to uwagę.

Pomimo tego że kochał się z nią tak namiętnie tamtej nocy, nie była aż taką idiotką, by myśleć, że cokolwiek dla niego znaczy.

Starała się nie patrzeć teraz w jego stronę; szybko i sprawnie zmieniała pościel. Nagle uświadomiła sobie, że Rhys przechodzi obok niej, by dostać się do szafy.

- Przepraszam - wymamrotała i zarumieniła się lekko. - Już schodzę ci z drogi.

Próbowała na niego nie patrzeć, gdy się ubierał. Ale to naprawdę było trudne. Miał piękne ciało - twarde, muskularne, smukłe. Szeroką klatkę piersiową porastały ciemne włosy.

- Sam mogę posłać łóżko - powiedział Rhys. - Naprawdę. I dobrze zrobiłaś, że skorzystałaś z mojego mieszkania. Właśnie po to dałem ci klucz, pamiętasz? Jesteśmy przyjaciółmi.

Tak, są przyjaciółmi. A raczej nimi byli... Nie wiedział jeszcze, kim teraz będą dla siebie.

- Nie spałabym dziś tutaj, gdybym wiedziała, że...

- Dlaczego nie?

Wolałyby nie poruszać teraz tego tematu. Chciała zachować spokój, opanowanie, kontrolę nad sytuacją. Jednak Rhys naciskał. Westchnęła i z rozmachem rozłożyła prześcieradło.

- Dobrze wiesz dlaczego - powiedziała.

- Z powodu tego, co między nami zaszło? - spytał z pozornym spokojem.

Przez chwilę słychać było tylko szelest rozkładanego prześcieradła. Potem Mariah lekko skinęła głową.

- Będziemy musieli o tym porozmawiać - odparł szybko.

- Dobrze wiem, co sądzisz o...

- To samo co i ty, prawda? - wtrącił szybko. - Dlaczego mielibyśmy wszystko popsuć? Zapomnijmy o tamtej nocy. To był... przypadek. Ale między nami wszystko może znowu być po staremu.

Mariah patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Czuła, że ogarniają ją mdłości, a skóra robi się zimna i wilgotna. Na pewno musiała zblednąć i była z tego powodu bardzo zła. Ostatecznie tego właśnie powinna się spodziewać.

- Byliśmy przyjaciółmi - nalegał. - Jesteśmy przyjaciółmi - poprawił się szybko. - A to, co się stało tamtej nocy, nie musi niczego zniszczyć.

- Tak, ale...

- I nie zniszczy - zakończył. - Drugi raz tego nie zrobimy. Posłuchaj - dodał delikatnym tonem - wiem, że byłaś po prostu miła, gdy zauważyłaś, że potrzebuję...

Urwał. Nerwowo przełknął ślinę. Nie chciał wypowiedzieć tych słów. Nie zamierzał się przyznać, że potrzebował kobiety.

- To był dla mnie trudny okres - podjął z westchnieniem.

- Pogrzeb... Niespodziewana śmierć Jacka...

Ale trudny okres w życiu Rhysa trwał znacznie dłużej. Rozpoczął się wraz ze śmiercią Sarah... Sarah, o której nie mógł mówić, chyba że wypił za dużo i się zapomniał. Sarah, jedyna kobieta, którą w życiu kochał.

Mariah nadal stała bez ruchu.

- Byłaś naprawdę bardzo miła... - Wziął głęboki oddech.

- Nie powinienem... Postąpiłem jak szalony. Wykorzystałem cię. Złamałem swoją zasadę.

- Jaką zasadę?

- Dotyczącą seksu. Nigdy nie uprawiam seksu z przyjaciółkami.

- Chcesz powiedzieć, że uprawiasz seks z wrogami?

- Nie! - Był poirytowany. - Oczywiście, że nie. Ale nie uprawiani seksu z kobietami, które... które po prostu lubię.

- Przeczesał palcami włosy. Był wyraźnie zmieszany.

Nie powinna go bardziej naciskać. To nie była odpowiednia chwila. Rozmowa zaszła za daleko.

- Nie powinienem kochać się z tobą - zdobył się na szczerość.

- To komplikuje nasze stosunki. Jeśli nie zachowamy ostrożności, między nami wszystko się może... popsuć. To był błąd.

No tak, sama się o to prosiła! Przewidziała przecież, że tak właśnie będzie.

- Oczywiście, masz rację - powiedziała obojętnym tonem. Nie powinien się domyślić, że słowa te sprawiły jej piekący ból.

Rhys z uśmiechem wyciągnął rękę.

- A więc żadnych wzajemnych żalów i pretensji? - spytał niemal radośnie.

Nie odpowiedziała. I nie podała mu ręki. Patrzyła tylko na niego, a potem w przestrzeń. Usiłowała dojść do siebie. I stać się taką kobietą, za jaką ją uważał. Jego przyjaciółką.

- Mariah? - Uśmiechnął się zachęcająco, opuszczając dłoń.

- Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi?

Zebrała swoje rzeczy i przycisnęła je do serca jak tarczę.

- Jesteśmy przyjaciółmi - wyjąkała ze spuszczoną głową.

- Wspaniale! - Uśmiechnął się i odetchnął z ulgą.

Nadal czując mdłości i chłód na skórze, przemknęła obok niego. Na końcu korytarza odwróciła się.

- Jednak sprawy wyglądają nieco inaczej niż przedtem - powiedziała.

- Dlaczego? - Zmarszczył brwi. - Powiedziałaś przecież...

- Jestem w ciąży, Rhys. Będę miała twoje dziecko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mariah nie spodziewała się, że Rhys będzie szczęśliwy. Lepiej niż ktokolwiek inny znała jego poglądy na temat życia rodzinnego.

- To mnie nie interesuje - powiedział szczerze, gdy po kilku miesiącach znajomości rozmawiali o tym po raz pierwszy. Poprosiła go, by poszedł z nią na ślub jej przyjaciółki Lizzie, co zresztą chętnie uczynił. Gdy podczas przyjęcia ktoś poruszył temat małżeństwa, Rhys twardo określił swoje stanowisko. - Już byłem żonaty. I nigdy więcej - dodał.

Wówczas nic jeszcze nie wiedziała o jego przeszłości. Pamiętała tylko, że spoglądała na niego zdumiona stanowczością, jaką usłyszała w jego głosie. Mężczyźni na ogół unikali matrymonialnych więzów powodowani tchórzostwem. Ale Rhys musiał mieć jakiś ważny powód. Wyrażał się na ten temat z niezwykłą zawziętością i uporem.

- Nawet jeśli kiedyś spotkasz tę jedną jedyną? - zażartowała wówczas.

- Nigdy nie będzie drugiej takiej dziewczyny, bo to zdarza się tylko raz w życiu - odpowiedział spokojnie i bez wahania.

Została ostrzeżona. Nie mogła temu zaprzeczyć.

Jednak to nie miało znaczenia. I tak by się w nim zakochała.

Znała go od trzech lat, odkąd kupiła mieszkanie w tej samej kamienicy. Mieszkała obok niego, rozmawiała z nim, jadła z nim kolacje, śmiała się i bawiła. I niebawem odkryła, że jej

przystojny sąsiad posiada wszystkie cechy, których zawsze szukała u mężczyzny.

Ale on nigdy się o tym nie dowiedział. Gdy zdała sobie sprawę z własnych uczuć, wiedziała już od dawna, że Rhys nie jest zainteresowany poważnym związkiem i nie szuka kolejnej miłości.

Nigdy nie prosiła go o więcej, niż mógł jej ofiarować. Przez trzy lata była taką dziewczyną, jakiej pragnął. Jego przyjaciółką. Dzwonił do niej z propozycją wspólnego pobiegania po parku lub pytał: „Może obejrzymy dziś wieczorem ten brazylijski film w Lincoln Plaza?”. Popijała z nim piwo „U McCabe'a”, odwiedzała modne restauracje i nowe galerie, chodzili razem na mecze baseballu.

Była też jedyną osobą, z którą kiedykolwiek wjechał na Empire State Building. Pewnego razu pomyślała nawet, że powinien zabrać tam Jacka...

Teraz już tego nie robi. Teraz prawdopodobnie już nigdy tam z nią nie pójdzie...

Zauważyła, że przeżył szok. Najpierw dostrzegła w jego oczach niedowierzenie, potem przejmujący ból, a na końcu wściekłość. Wszelkie nadzieje na to, że dowiedziawszy się o ciąży, zmieni zdanie na temat stałego związku, przysły niczym bańka mydlana. Ale niezależnie od tego czy mu się to podobało, czy nie - za siedem miesięcy urodzi się ich dziecko.

Mariah tego pragnęła. Oczywiście, nie to miała w planach, gdy dziewięć tygodni temu zeszła do mieszkania Rhysa. Wstała tam, ponieważ była ciekawa i zaniepokojona. Wiedziała, tak jak wszyscy, że Rhys nie ma sztywno ustalonych godzin pracy. Należał do elitarnego grona wysoko wykwalifikowanych specjalistów i wzywano go wówczas, gdy wybuchał szczególnie groźny pożar szybu naftowego lub rafinerii. Sam nie wiedział, kiedy i w jakim- miejscu kuli ziemskiej się znajdzie. Był bardzo

zajęty, bo często też proszono go o wygłaszanie prelekcji na temat pożarnictwa.

Mariah nigdy nie wiedziała, kiedy Rhys wróci. Na ogół zaskakiwał ją, pojawiając się nagle w drzwiach i pytając ze zniewalającym uśmiechem, czy nie wybierze się z nim na Empire State Building.

Tamtego wieczoru, gdy zobaczyła w jego mieszkaniu zapalone światło, zdziwiła się, ponieważ wiedziała, że zaledwie kilka dni temu wyjechał do Anglii. Tak prędki powrót był rzeczą niezwykłą. Przestraszyła się, że coś się stało.

Zeszła na dół i zapukała do jego drzwi. Gdy nie odpowiadał, otworzyła sobie kluczem, który dał jej na wszelki wypadek. Zawołała. Nie odpowiedział.

- Rhys? - zawołała znów. - Jesteś w domu?

Wtedy zauważyła jego torbę leżącą przy biurku. Serce zabiło jej szybciej. Zawsze cieszyła się, gdy wracał. .

Gdy przeszła przez hol, okazało się, że drzwi do sypialni są otwarte, a lampa rzuca snop ciepłego światła na wyfroterowaną dębową podłogę.

Mariah zatrzymała się na progu i zajrzała do środka. Rozsuwane drzwi prowadzące do ogrodu były otwarte, a żaluzje po-brzękiwały metalicznie w podmuchach wieczornego wiatru.

Uśmiechnęła się, przekonana, że zastanie Rhysa w ogródku, zapatrzonego w gwiazdy i upajającego się ciszą nocnego miasta. Ileż to razy przesiadywali razem w ogrodzie i rozmawiali o wszystkim! Lubił z nią rozmawiać. Odprężał się wówczas po trudach pracy.

Podeszła do niego bez wahania. Siedział na jednym z metalowych krzeseł, z głową odrzuconą do tyłu i przymkniętymi oczami. W świetle księżycy jego szczupłe policzki wydawały się zapadnięte; usta miał ściągnięte w wąską linię. W dłoni trzymał prawie pustą szklankę. Obok krzesła stała butelka whisky.

Marian ze zdumienia uniosła brwi. Rhys rzadko pił mocny alkohol. W upalny dzień lubił ochłodzić się zimnym piwem, to wszystko.

- Rhys?

Nie poruszył się, tylko jeszcze mocniej zacisnął usta. Przełknął ślinę; na jego szyi poruszyło się jabłko Adama. Zacisnął palce na szklaneczce, a potem wolno otworzył oczy i odwrócił głowę w stronę Mariah.

W pokoju było zbyt ciemno, by mogła dostrzec wyraz jego twarzy. Zauważyła jednak, że miał spowolnione ruchy, jak stary i chory człowiek.

- Rhys? - Szybko do niego podeszła. Czuła, że coś jest nie w porządku. Tym razem nie chodziło o zwykłe wyczerpanie... Przyklękła i wzięła go za rękę. Była lodowata. - Co się stało?

Nie odpowiadał długą chwilę. W końcu zdołał wykrztusić z siebie jedno słowo:

- Jack.

Domyśliła się natychmiast. Spotkała Jacka O'Daya kilka razy. Oczarował ją swą południową urodą, pogodą ducha, ciętym irlandzkim dowcipem i bezpretensjonalnym wdziękiem. Zupełnie nie przypominał zwykle poważnego, zamyślnego i pełnego rezerwy Rhysa. Jack był uosobieniem kumpla, z którym można kraść konie. Natomiast Rhys był zamknięty w sobie, uparty i ostrożny. Jack mawiał, że różnili się jak dzień i noc.

Jednak pomimo tego byli sobie bliżsi niż bracia. Jak dwie uzupełniające się połówki, myślała Mariah. Najlepsi przyjaciele. Od początku wspólnej pracy w ekipie.

Wyraz twarzy Rhysa mówił sam za siebie i słowa były zbędne. Mariah wyciągnęła ręce i mocno objęła przyjaciela ramionami.

Bez słowa odwzajemnił uścisk. Przywarł wręcz do niej jak tonący, mocno wtulając twarz w jej szyję. Paliły ją jego bezgłośne łzy, czuła drżenie jego ciała.

Nie wiedziała, jak długo trwali w tym uścisku, ani też kiedy wstali i weszli do mieszkania. Nie wiedziała również, kiedy Rhys zapragnął czegoś więcej niż pocieszenia...

Może powinna go wówczas powstrzymać? Jednak nic zrobiła tego. Nie zaprotestowała, gdy jego usta znalazły jej wargi. Nie powiedziała „nie”, gdy wsunął ręce pod jej bluzkę, gdy padli sobie w ramiona, znajdując pocieszenie we wzajemnej bliskości.

Nie zamierzała protestować. Pragnęła Rhysa, ponieważ od dawna była w nim zakochana. I miała nadzieję - żyła nią przez ostatnie tygodnie - że ta miłosna noc zapoczątkuje głębszy, trwalszy związek.

W żadnym razie nie chciała jednak, by stało się tak jedynie z powodu dziecka...

Oczywiście, że mogła się zabezpieczyć. Ale przecież to, co się zdarzyło, nie było zaplanowane! Przecież była tak samo zdziwiona i zaskoczona jak on. Jednak nie żałowała niczego.

A może powinnam była, myślała teraz, gdy ściskając ubrania, wolno wchodziła po schodach na górę.

Owszem, pewnych spraw żałowała. Ale absolutnie nie tego, że się kochała z Rhysem. I nie tego, że poczęli dziecko.

Było jej natomiast bardzo przykro, że Rhys uważał, iż popełnili błąd.

Nie wiedziała, co począć, by zmienić zdanie. A przecież musiał je zmienić. Tego była pewna.

Pomyśli o tym później. Teraz spieszyła się, by zdążyć do siebie, nim ogarną ją poranne mdłości.

- Co to znaczy, że będziesz...? - Rhys stał jak wryty i patrzył ze złością na młodą szatynkę, która otworzyła drzwi mieszkania Mariah. - Kim ty jesteś?

- Nazywam się Erika, jestem kuzynką Mariah - wyjaśniła pospiesznie. Nerwowo zamrugała powiekami, przestraszona je-

go gwałtownością. Potem uśmiechnęła się z wysiłkiem. - A ty pewnie jesteś Rhys?

- Skąd wiesz? - Czy Mariah wszystko o nim opowiedziała kuzynce?!

- Po prostu zgadłam - odparła rzeczowo Erika. - Mariah przed chwilą przyszła i powiedziała, że wrócisz.

Rhys oddychał już trochę spokojniej.

- Gdzie ona jest? - spytał możliwie uprzejmym tonem.

Poszedł za nią na górę, od razu gdy tylko ochłonął. Nadal nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Na pewno po prostu się przesłyszał! Nie chciała chyba powiedzieć, że jest w ciąży! A jeśli...?

- Mariah bierze w tej chwili prysznic. - Głos Eriki wyrwał go z zamyślenia.

Zacisnął dłonie w pięści. A więc ukrywa się przed nim... Przeszedł obok kuzynki Mariah i wkroczył do pokoju.

- Poczekam - rzekł stanowczo.

Miał ochotę ją udusić. Jak mogła zakomunikować mu coś takiego i uciec na górę, pozostawiając go oniemiałego z wrażenia! Nadal nie potrafił tego pojąć. W ciąży? Z nim?

Rozglądał się ze złością po pokoju. Chętnie by coś rozbił, zmiażdżył albo roztrzaskał. Jednak w zasięgu ręki nie znalazł nic odpowiedniego.

Nawet mieszkanie Mariah nie wyglądało znajomo. W jej uporządkowanym i przytulnym salonie panował teraz rozgardiasz, świadczący, że przebywają tu obcy ludzie, w dodatku z dzieckiem. Na podłodze poniewierały się zabawki, na krzesłach piętrzyły się stopy ubrań. Nie znalazł nawet wolnego miejsca, by usiąść. Na kanapie leżał mały chłopiec w piżamie i oglądał kreskówki w telewizji. Niechętnie zerknął na Rhysa, a potem z powrotem wbił wzrok w ekran telewizora.

- Tyler, usiądź i zrób panu miejsce - odezwała się matka

chłopca. - To jest Tyler, mój syn - dodała. - Może napije się pan kawy? Mariah powiedziała, że pan poszedł spać, ale może...

Poszedł spać? Oznajmiła, że urodzi jego dziecko, a potem wyszła, spodziewając się, że on spokojnie pójdzie spać?!

- Żadnej kawy - odparł szorstko. Nerwy miał napięte jak postronki. Niespokojnie, wielkimi krokami przemierzał pokój.

Nagle z sypialni dobiegł dziecięcy płacz.

- Co się dzieje, u diabła? - Rhys aż podskoczył.

- Och, to tylko Ashley - powiedziała wesoło Erika. - Nasza córeczka. Mój mąż, Jeff, ją przebiera. W tym tygodniu musiał przyjechać do Nowego Jorku na seminarium, a my przyjechaliliśmy z nim. - Nalała kawę do dwóch kubków i nie zważając na wcześniejszą odmowę, podała jeden Rhysowi.

Musiał wyglądać tak, jakby potrzebował czegoś na wzmocnienie. I zapewne tak było. Ścisnął teraz kubek w rękach tak mocno, jak tratwę ratunkową.

- Mariah jest matką chrzestną Tylera - wyjaśniła Erika. - Dawno go nie widziała, a poza tym nie miała jeszcze okazji poznać Ashley. Postanowiliśmy przyjechać do niej z wizytą. Mariah i Sierra niezbyt często zaglądają w rodzinne strony i bardzo za nimi tęsknimy. Wiesz, jak to jest w rodzinie...

- Nie wiem - uciął ostro.

Erika spojrzała na niego zdumiona.

Rhys pragnął, by Mariah wyszła wreszcie z łazienki. Odwrócił się na pięcie i zacisnął palce na kubku tak mocno, jakby miał ochotę go zmiażdżyć.

- Nie masz żadnej rodziny? - W głosie Eriki wyraźnie słychać było żal.

- Mam braci - powiedział uprzejmym tonem, ale w duszy zrywał się, ponieważ nie chciał, by mu ktokolwiek współczuł.

- Wychowywałś się w mieście? - indagowała.

Rhys przeczesał palcami włosy. Znów zaczął nerwowo cho-

dzić po pokoju, omijając stopy ubrań, zabawki i rozrzucone tu i ówdzie poduszki. Naprawdę nie miał ochoty na uprzejmą rozmowę z tą kobietą, podczas gdy Mariah chowała się w łazience!

Postawił kubek z kawą na stole z taką siłą, że płyn rozlał się po blacie.

- Muszę już iść - warknął. - Proszę jej powiedzieć, że chcę z nią porozmawiać. Niech będzie tak uprzejma i zejdzie na dół.

Mariah nie była pewna, czy chce usłyszeć to, co Rhys ma jej do powiedzenia.

Przysznic i kilka krakersów powinny ją wzmocnić przed tą rozmową. Na razie skupiła się na rozczesywaniu włosów.

- Przyszedł tutaj - zakomunikowała Erika z ożywieniem.
- Naprawdę bardzo chciał z tobą porozmawiać.

- Pójdę do niego później - odpowiedziała. Będzie w stanie zmierzyć się z nim oko w oko, dopiero gdy odzyska spokój i poczuje się silniejsza.

- Przystojniak z niego - wtrąciła Erika. - Dlaczego wcześniej nic nam o nim nie opowiadałaś?

- Nic ma nic do opowiadania - odrzekła Mariah ze sztuczną nonszalancją.

- Wydawał się tobą zainteresowany.
- Nie w taki sposób, jak myślisz.
- Dlaczego nie? Jesteś wolna, piękna, elegancka, masz same zalety... Czegóż więcej mógłbyś chcieć?

- On nie chce niczego - odpowiedziała, potrząsając głową.
Erika spojrzała na kuzynkę z nieskrywanym zdumieniem i umilkła na dobre.

Mariah skończyła układać włosy i wyprostowała ramiona. Czuła się trochę lepiej. Poranne mdłości wreszcie minęły. Właśnie z tego powodu chętnie skorzystała z mieszkania Rhysa. Wymiotowała co rano i kuzynka na pewno zaczęłaby się czegoś

domyślać. Nikomu jeszcze nie powiedziała, że jest w ciąży. Chciała najpierw podzielić się tą nowiną z Rhysem.

A teraz? Co teraz, gdy już mu powiedziała?

Nadal nie potrafiła się przemóc i zwierzyć ze wszystkiego Erice. Musiałyby odpowiedzieć na zbyt wiele pytań. Tak czy owak, nie była gotowa do rozmowy na ten temat. Jeszcze nie teraz.

Gdyby Rhys się ucieszył, gdyby się uśmiechnął i- krzyknął z radości, gdyby podniósł ją do góry, tak jak zrobił to mąż jej przyjaciółki Chloe na wieść o ciąży żony... Tak, wówczas z radością podzieliłaby się tą nowiną z całym światem.

Ale Rhys tego nie zrobił. Przeciwnie, wyglądał na przerażonego, osłupiałego.

- Idź, porozmawiaj z nim - namawiała Erika. -I spytaj, czy nie wybierze się z nami na szczyt Empire State Building.

Mariah z wrażenia głośno wciągnęła powietrze. Łatwo mogła sobie wyobrazić reakcję Rhysa na tę propozycję.

- Wychodzisz z nim gdzieś czasami, prawda? - dopytywała się Erika.

- Owszem.

- Być może będzie chciał z nami pójść. Zapytaj go.

- Dobrze - zgodziła się Mariah. - Zapytam.

- O co zapytasz? - Jeff z ośmiomiesięczną Ashley na rękach wszedł do pokoju. Podał dziecko żonie, po czym przelotnie pocałował ją w usta. Patrzyli na siebie z taką czułością, że Mariah poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Właśnie takiej miłości pragnęła...

- O to, czy przystojny przyjaciel Mariah wyjdzie dziś z nami - wyjaśniła Erika.

- Mariah ma przystojnego przyjaciela? - Jeff uniósł brwi.

- Właśnie, przyjaciela - podkreśliła Mariah dobitnie.

- Przystojnego - dodała Erika natychmiast. - Och, Mariah, wiem, że nie potrzebujesz mężczyzny, ale naprawdę jest miło, jak ktoś o ciebie zabiega.

Mariah nie trzeba było tego mówić. Nic rozumiała, skąd jej rodzinie przyszło do głowy, że nie zależy jej na męskim towarzystwie. Może dlatego, że miała już trzydzieści jeden lat, a przez ostatnie osiem była pochłonięta wyłącznie pracą, by osiągnąć sukces jako dziennikarka popularnego magazynu dla kobiet? Robienie kariery nie pozostawiało dużo czasu na szukanie odpowiedniego mężczyzny.

Ale to przecież jeszcze nie powód, by nie mieć nikogo bliskiego. Wręcz przeciwnie! Fakt, że osiągnęła sukces w swym zawodzie nie oznaczał, że chciała resztę życia spędzić bez mężczyzny. Jednego mężczyzny. Tego, którego kochała. Rhysa.

Znów głęboko westchnęła. Nie mogła wечно odkładać tej rozmowy. Będzie musiała go wysłuchać. Być może będzie musiała mu wytłumaczyć...

O Boże, proszę! - błagała w głębi serca. Kocham go. Spraw, by to się udało!

Nie wiedział, co począć z rękami. Włożył je do kieszeni i zacisnął pięści. Pstrykał palcami. Przeczesawał dłońmi włosy. I tak bez końca.

Jak mogła siedzieć spokojnie na sofie, podczas gdy on nerwowo miotał się po pokoju, mrucząc coś pod nosem. Usiłował zapanować nad chaosem, który wdarł się nagle w jego życie.

- Poznałaś moje zdanie na temat zakładania rodziny - powiedział oskarżycielskim tonem. Nie potrafił się opanować. Robił co w jego mocy, by nie okazać wewnętrznego napięcia. Znany był z tego, że w trudnych sytuacjach potrafił zachować zimną krew. Jednak teraz zupełnie stracił głowę.

- Znam twoje zdanie - przyznała Mariah na pozór potulnie.
- Rozumiem cię... Ale...

- A więc jak mogłaś?!

- Ja? - odparowała podniesionym głosem. - Nie zrobiłam tego sama, Rhys!

- Do diabła! - Zacisnął dłonie w pięści. - Wiem o tym! Ja tylko... Do diabła! - Przymknął oczy, modląc się, by odzyskać spokój. Ale spokój nie nadchodził. Powiedział ostre słowo. Potem kolejne.

Gdy znów otworzył oczy, przekonał się, że Mariah patrzy na niego urażonym wzrokiem. Wyglądała tak, jakby ją uderzył.

Pewnie zranił ją boleśnie. Jednak on także otrzymał cios. Znalazł się w pułapce bez wyjścia.

- Dla ciebie musi to być równie nieprzyjemne, jak dla mnie - zaczął tonem usprawiedliwienia.

- Wcale nie! - przerwała mu gwałtownie.

- Słucham? - Patrzył na nią osłupiały.

- To nie jest nieprzyjemna sytuacja. - Potrząsnęła głową na potwierdzenie swoich słów. - Przyznać muszę, że byłam zaszokowana, gdy odkryłam, że jestem w ciąży. Kompletnie oszołomiona. I przerażona... Nie sądziłam, że to stanie się tak szybko... - Uśmiechnęła się z zadumą. - Ale to już minęło. Czuję się teraz dobrze. I pragnę tego dziecka. - Ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem.

- Pragniesz go? - W jego głosie zabrzmiało niedowierzenie.

- Jesteś kobietą sukcesu! Masz swoją pracę!

- Wiele kobiet pracuje. I większość ma dzieci.

- Ale nigdy nie mówiłaś, że chcesz mieć dzieci... - upierał się z coraz mniejszym jednak przekonaniem.

- Nigdy mnie o to nie pytałeś - odparła.

Zaniemówił. Po prostu go zatkało. Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- To nie ma sensu - wykrztusił wreszcie. - Nic z tego nie rozumiem. To przecież nie ma sensu. - Rzucił jej twarde, ostre spojrzenie, zastanawiając się, czy w ogóle znał tę kobietę. Ni-

gdy, ani razu nie wspomniała, że interesuje ją małżeństwo i rodzina! Waśnie za to tak bardzo ją lubił!

Ale darzył ją sympatią również dlatego, że miło było przebywać w jej towarzystwie, dobrze się z nią gawędziło i potrafiła uważnie słuchać. Była pełną współczucia, wrażliwą osobą.

Dziś czuł się oszukany. Wywiedziony w pole.

- Czyżbyś to...? - Jednak nie odważył się głośno wypowiedzieć oskarżenia.

Ale Mariah je usłyszała. W jej zazwyczaj łagodnych oczach zabłyśły iskry.

- Nie, nie zaplanowałam lego! Jeśli choć przez chwilę mogłeś pomyśleć... - Teraz nie była już spokojna, kipiała wściekłością. - Idź do diabła! - Z podniesionym podbródkiem i wyprostowanymi ramionami pomaszzerowała w stronę drzwi.

Pognał za nią, chwycił za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Poczul jej oddech na policzkach; była tak blisko, że jej falujące piersi niemal dotykały jego klatki piersiowej.

Puścił ją i cofnął się o krok. Musiał ochłonać, odzyskać równowagę.

- Wcale nie uważam, że to zaplanowałeś - wykrztusił z wysiłkiem. - Słowo. Ja tylko chciałem... - Przesunął palcami po nastroszonych włosach. - Jestem po prostu... przybity. To spadło na mnie jak. grom z jasnego nieba.

Chciała coś wtrącić, ale podniósł rękę na znak, by mu nie przerywała. Musiał dokończyć.

- Nie chodzi o to, że nie myślałem o tym, co się stało... Ja tylko nigdy... nigdy nie pomyślałem, że...

Rzeczywiście był głupi, skoro o tym nie pomyślał. Być może dlatego, że wszystkie kobiety, z którymi uprawiał miłość po śmierci Sarah, a wcale nie było ich tak wiele, były świadome, w co się pakują i odpowiednio przygotowane. Znały zasady i podobnie jak Rhys szukały tylko rozrywki. Na pewno nie

miały zamiaru zakładać rodziny. A ciąża w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Patrzył na Mariah, ale ona odwróciła wzrok. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i przez okno wyglądała na ulicę. Z pewnym oporem przesunął wzrok w dół, usiłując dostrzec charakterystyczną wypukłość. Ale to jeszcze za wcześnie, przecież gdy Sarah była w dziewiątym tygodniu, też nie sposób było cokolwiek zauważyć...

Poczuł ucisk w gardle. Coś zaszczypało go pod powiekami. Wspomnienia były bolesne. Tylko spokój, izolacja, powściągliwość, wyciszenie - tylko to mogło go uratować. Taka postawa pozwoliła mu zachować zdrowe zmysły po śmierci Sarah. Tylko dzięki temu dawał sobie radę.

Odetchnął głęboko i przymknął powieki. Zwilżył usta. Potem powiedział ze spokojną stanowczością:

- Nie chcę się żenić.

Spojrzała na niego przelotnie.

- Nikt cię o to nie prosi.

- Ale przecież powiedziałaś mi... - Zamrugął powiekami.

- Miałaś prawo wiedzieć. - Wzruszyła ramionami. - To wszystko. Jeśli nie chcesz nic zrobić ani w sprawie dziecka - zaakcentowała ostatnie słowo - ani mnie, w porządku.

- Do diabła, wiesz, że to nie jest w porządku! - wybuchnął.
- Cała ta sprawa nie jest w porządku! Jesteś w ciąży! - Tyle pozostało z jego spokoju i chłodu.

- Tak. I zamierzam zostać matką. Więcej, zamierzam dobrze wywiązać się z tej roli! - Rzuciła mu wojownicze spojrzenie, ale po chwili jej oczy złagodniały. - Jednak nie zamierzam cię zmuszać, byś wziął na siebie rolę ojca.

- To już się stało - rzekł pośpiesznie.

- Tylko z biologicznego punktu widzenia.

Miał dosyć. Naprawdę miał dosyć. Oddychał urywanie. Zaciśnął dłonie w pięści, by się uspokoić.

- Dam ci pieniądze - powiedział. - Pomogę ci finansowo. Niczego ci nie zabraknie... Ani dziecku. - Z ogromnym trudem wymówił to ostatnie słowo. - Ale na tym koniec. Tylko tyle mogę zrobić, rozumiesz?

Spodziewał się oporu, słów potępienia. Oczekiwał, że mu nawymyśla od samolubnych łajdaków.

I nie mógłby temu zaprzeczyć.

Ale Mariah nie spierała się z nim ani go nie potępiała. Podeszła tylko do drzwi, potem odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Twój wybór, Rhys - powiedziała cicho. - I twoja strata.

Wybrali się na wieżowiec World Trade Center. Mariah powiedziała im, że jest wyższy od Empire State Building. I wyjaśniła, że z World Trade Center można popatrzeć z góry na Statuę Wolności, a z południowego tarasu podziwiać Bartery Park i cały Manhattan.

Powiedziała to wszystko spokojnie i beznamiętnie, jakby naprawdę było jej wszystko jedno, co ostatecznie wybiorą.

Jednak jej nie było wszystko jedno. Tylko nie Empire State Building! Tego by nie zniosła.

Jeśli przyznawaliby Oscara za odgrywanie roli w prawdziwym życiu, na pewno na niego zasłużyła. Nie tylko za to jedno popołudnie, podczas którego musiała z udawanym zainteresowaniem zwiedzać z Eriką i jej mężem miasto, a także za to, że się nic załamała i zachowała spokój podczas tej dramatycznej rozmowy z Rhysem. Gdyby wygłosiła jakąś patetyczną przemowę, gdyby się z nim kłóciła albo go błagała, i tak nic by nie osiągnęła. Czy mogła przekonać mężczyznę, aby zapragnął jej albo pokochał swoje dziecko? Mogła mieć tylko nadzieję, że kiedyś tak się stanie. I modliła się o to.

Wyszła z jego mieszkania spokojnie, bez jednej łzy w oku. I zachowała spokój przez cały długi dzień, nawet wówczas gdy Erika głośno ubolewała, że Rhys im nie towarzyszy.

- Był zbyt zmęczony - usprawiedliwiła go Mariah.

I chociaż kuzynka przez całe popołudnie zadawała jej docieklive pytania na jego temat, zachowała kamienną twarz.

„On jest strażakiem”, „Często wyjeżdża”, albo „Nic wiem” - odpowiadała. Nikt nie zauważył, że uśmiech zniknął z jej warg, że drżą jej ręce i łamie się głos... I mimo że z wieżowca World Trade Center rozciągał się wspaniały widok na Manhattan i na gmach Empire State Building, nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć.

Nie mogła pozwolić sobie na wspomnienia. Nie mogła też myśleć o Rhysie.

- Popilnuję Tylera - powiedziała w końcu do Eriki i Jeffa, których absorbowała opieka nad dzieckiem. - Chodź, skarbie, daj mamie trochę odpocząć.

To było najlepsze rozwiązanie. Tyler był doskonałym lekarstwem na rozstrój nerwowy. Zadawał tysiące pytań i żadne z nich nie dotyczyło Rhysa. Mariah ledwie miała czas na złapanie oddechu, by na wszystkie odpowiedzieć. Tym lepiej. Nie starczało już czasu na snucie ponurych rozważań.

Ale, niestety, nie do końca udało jej się oderwać od rzeczywistości. Do głowy cisnęły jej się pytania, czyjej dziecko będzie równie ciekawskie, żywe i pełne entuzjazmu jak Tyler, czy też ciche i spokojne jak Ashley. Czy będzie mieć kasztanowe włosy, czy też czarne, takie same jak mężczyzna, który dał mu życie, a potem się go wyrzekł...

Odsunęła od siebie tę myśl.

Zastanawiała się, jaki kolor będą miały oczy jej dziecka. Czy będą jasnoszare, jak jej własne, czy też lodowato niebieskie jak te, które dziś rano patrzyły na nią z taką złością?

W geście obrony przyłożyła dłoń do brzucha, jakby mogła

w ten sposób ochronić dziecko przed gniewem i oskarżycielskim wzrokiem jego ojca.

- Boli cię? - zaciekawił się Tyler.

Marian opuściła rękę i uśmiechnęła się do niego.

- Nie - powiedziała łagodnie. - Po prostu jestem głodna. Myślę, że dobrze mi zrobią lody. Co ty na to?

- Mnie też! - zawołał z entuzjazmem Tyler.

Rhys spał aż dwanaście godzin. Jednak gdy się obudził, czuł się gorzej niż przed pójściem do łóżka. Przez moment nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego.

Po chwili wszystko sobie przypomniał.

To wszystko zakrawało na koszmar. Było niczym absurdalny, nierealny sen.

Przekręcił się na bok i jęknął. Potem otworzył oczy i nagle uświadomił sobie, że gdy po raz ostatni spał w tym łóżku, była z nim Mariah...

To wspomnienie było tak żywe, tak wyraziste, tak nieodparte, że nawet teraz poczuł przypływ pożądania.

Zerwał kołdrę i wyskoczył z łóżka. Potykając się, dotarł do łazienki, odkręcił zimną wodę i wsunął głowę pod kran. Następnie spryskał twarz i umył zęby. Ogolił się i ubrał.

W kuchni zaparzył dzbanek kawy i wielkimi łykami popijał gorący płyn. Przypominał sobie wczorajszy powrót do domu i własne myśli. Był zdenerwowany i pełen obaw. Zastanawiał się, czy obydwójce z Mariah potrafią przejść do porządku dziennego nad tamtą nocą.

Dziś wiedział, że nigdy o niej nie zapomną. I wiedział również, że nie odzyska przyjaźni Mariah.

A może to i lepiej, że jej nie odzyska? Nie będą wówczas mieli ze sobą nic wspólnego. Będzie mu jej brakować, i to bardzo, ale przecież zbyt dużo się zmieniło...

. A może Mariah się wyprowadzi? Ta myśl podniosła go na duchu. Ma pracę, która nie wymaga mieszkania w mieście. W ubiegłym roku podczas remontu przeniosła się do Hampton. Może przeprowadzi się tam na stałe? Wówczas w ogóle nie musiałby jej widywać... Wysyłałby jej co miesiąc czek. W ten sposób spełniałby swoją powinność. Zresztą Mariah nie chciała, by robił coś więcej... Nie kłóciła się z nim. Nie powiedziała ani słowa.

Odetchnął głęboko, potem jeszcze raz. Czuł, jak z każdym oddechem odzyskuje więcej swobody, a nawet pewności siebie. Wyprostował ramiona, jak bokser podnoszący się z ziemi po mocnym ciosie.

Owszem, runął na deski. Ale nie był to jeszcze nokaut! Musi mu się udać. Da sobie radę. Przecież zawsze potrafił wybrnąć z najgorszych opresji.

Dopił kawę. Potem wziął torbę, zaniósł ją do piwnicy i wrzucił wszystkie ubrania do pralki. Zawsze tak robił po powrocie do domu.

Starannie odmierzył proszek, zamknął bęben i nastawił programator. Maszyna zaczęła napełniać się wodą. Tak jak zawsze.

Sięgnął po telefon i nagle... Zatrzymał się w pół gestu. Zamierzał zadzwonić do Mariah i zaprosić ją na lunch!

W porządku. Pewne sprawy muszą ulec zmianie.

Jednak najważniejsze, że nadal pozostanie sam. Samotny. Niewzruszony. Twardy.

Dokładnie taki, jak chciał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Goście Marian wyjeżdżali w sobotę.

- Cudownie spędziliśmy czas! - Erika zatrzymała się, nim wsiadła do taksówki, by po raz ostatni uściskać kuzynkę. - Nie wiem, jak ci dziękować za gościnę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewniła ją Marian. To była prawda - do pewnego stopnia. Obecność Jeffa, Eriki oraz ich dzieci odrywała ją od obsesyjnych myśli o Rhysie.

Rhys przez cały tydzień nie odezwał się do niej ani słowem. Podejrzewała, że będzie nadaşany, zły, opryskliwy. Nie sądziła jednak, że przestanie ją zauważać! Do licha, tak długo byli przyjaciółmi, a przyjaźni nie zrywa się tak łatwo. Przyjaciele nie odwracają się do siebie plecami. Jednak Rhys konsekwentnie ją ignorował.

Z początku składała tę powściągliwość na karb obecności Jeffa i Eriki. Starła się go nie obwiniać. Wiedziała, że Rhys musi sporo przemyśleć.

To zrozumiała, że nowa sytuacja nie jest dla niego łatwa. A nawet gdy już wszystko przemyśli, pewnie i tak wcale nie będzie szalał ze szczęścia, że zostanie ojcem.

Nie liczyła też na to, że poprosi ją o rękę. W każdym razie nie od razu... głęboko w sercu żywiła taką nadzieję, a przynajmniej spodziewała się, że znów go zobaczy. Tymczasem nie widziała go ani razu przez cały tydzień.

Wieczorem przed wyjazdem Eriki i Jeffa przygotowała kolację, na którą zaprosiła swoją siostrę, Sierę, oraz kilku przyja-

ciół - Finna i Izzy, Giba i Chloe oraz Sama i Josie. Rhys dobrze ich wszystkich znał. Pomyślała, że będą się zastanawiać, dlaczego go nie ma. Postanowiła go zaprosić.

Nie zastała go w domu, zostawiła więc wiadomość na automatycznej sekretarce. Zachowała się, jak na przyjaciółkę czy dobrą sąsiadkę przystało. A przynajmniej tak sobie wmawiała.

Następnego ranka, gdy wróciła ze sklepu spożywczego, zastała wiadomość na sekretarce.

- Dziękuję za zaproszenie. - To był Rhys. Mówił uprzejmym, obojętnym głosem. - Przykro mi, ale mam na dzisiejszy wieczór inne plany i zobowiązania.

Inne plany i zobowiązania! Gdzie podział się jego radosny ton? Poczowała na plecach nieprzyjemny, chłodny dreszcz.

Pozostali goście zjawili się na kolacji w komplecie. Wszyscy pytali o Rhysa.

- Miał inne plany i zobowiązania - wyjaśniła, cytując jego słowa i starając się, by nie zabrzmiały zbyt sarkastycznie.

Izzy i Finn unieśli brwi, Chloe wyglądała na zaskoczoną. Sam spytał:

- Chyba nie wyjechał znów za granicę?

- Na pewno przyjdzie - prorokowała z radosnym optymizmem Sierra. - Pewnie ma jakąś rodzinną uroczystość i nie może się wyrwać.

Mariah nie była taką optymistką. Tak czy owak, Rhys nie pojawił się wcale.

Poczowała wewnętrzną pustkę. Niepokój. Zagubienie. Usprawiedliwiała Rhysa. Wmawiała sobie, że Rhys musi przemyśleć sprawę. A może nie kontaktuje się z nią, ponieważ krępuje go obecność Eriki i Jeffa?

Lecz teraz, gdy ściskając Erikę zobaczyła, że ozdobna brama prowadząca do mieszkania Rhysa jest otwarta, omal zabrakło jej tchu.

- Odwiedźcie mnie niebawem - powiedziała do kuzynki.
- A może ty przyjedziesz do domu? - zachęciła ją Erika.
- Być może - powiedziała Marian nieobecnym głosem. Instyktownie poczuła, że za jej plecami Rhys właśnie zamyka bramę.

- Och, jest Rhys! - zawołała Erika. - Witaj, Rhys!

Mariah odwróciła się niechętnie. Zauważyła, że po jego twarzy przemknął słaby uśmiech, wyraźnie skierowany do Eriki.

- Wyjeżdżamy - powiedziała Erika. - Szkoda, że wczoraj wieczorem nie przyszedłeś na kolację.

Rhys uśmiechnął się uprzejmie, ale nie odpowiedział. Miał na sobie strój do joggingu. Mariah wiedziała, że w normalnych okolicznościach objąłby ją ramieniem i powiedział: „Założ szorty. Poczekam na ciebie”. Ale teraz nawet nic spojrzął w jej stronę.

Oblizła usta i odwróciła się z powrotem do Eriki.

- Szczęśliwej podróży! - powiedziała wesoło. - Do zobaczenia, Eriko! Cześć, Jeff! - Pogłaskała dziecko po puciołowatym, różowym policzku i uśmiechnęła się, gdy Ashley klasnęła w dłonie i zaczęła gaworzyć.

Katem oka zauważyła, jak Rhys. schodzi po schodkach, a następnie otwiera żelazną furtkę za jej plecami.

A potem... Potem po prostu odszedł!

Nawet się nie zatrzymał. Nawet nie spojrzął w jej stronę. Drzwi taksówki trzasnęły. Mariah obserwowała Rhysa, jak szedł ulicą prosto przed siebie.

- Do widzenia! - wołali Erika, Jeff i Tyler.

- Do widzenia - powtórzyła cicho, zapatrzona w mężczyznę, samotnie zmierzającego w stronę parku.

Trzymał się od niej z dala.

Poleciał do Kolorado i spędził kilka dni z Nathanem, swoim

bratem - fotografikiem. Pojechał do Montauk na ryby ze swym bratem biznesmenem - Dominikiem.

I za każdym razem, gdy wracał do domu, widział Mariah.

Ona ze swej strony nie starała się go unikać. Przeciwnie. Uśmiechała się, mówiła „cześć”. I patrzyła na niego tymi wielkimi szarymi oczami... Nie ma co ukrywać, po prostu jej pragnął. Ale jeszcze bardziej chciał o niej przestać myśleć.

Gdy był w domu, widywał ją codziennie. Gdy był w ogrodzie, wychodziła na taras, aby podlać kwiaty. Siadywała czasami na ganku i gawędziła z panią Alvarez, sąsiadką z góry. Rozwieszała pranie na małym stojaku; majtki, koszulki i biustonosze, jak zwykła mówić - „osobiste drobiazgi”.

Doprowadzało go to do szaleństwa.

Mógł z nią nie rozmawiać, mógł jej nie widywać. Lecz przecież trudno było uniknąć widoku staników powiewających na wietrze! I tych kolorowych mikroskopijnych szmatek...

W pierwszym odruchu niezrozumiałej wściekłości gotów był nawet zadzwonić do niej i poprosić, by nie gorszyła sąsiadów! Na szczęście w porę wrócił mu zdrowy rozsądek. Wycofał się chyłkiem z ogrodu. Dzień wcale nie był tak ciepły i nie trzeba w nieskończoność wszystkiego podlewać.

Zdaży zrobić to później, gdy frywolna bielizna panny Mariah Kelly wyschnie i przestanie drażnić jego wzrok.

Unikał jej. Żadnym innym słowem nie można było tego określić. A Mariah jako dziennikarka potrafiła znajdować właściwe słowa.

Unikał... Tak, właśnie to robił. Nie tylko do niej nie dzwonił ani nie wpadał, lecz gdy ją widział, natychmiast przechodził na drugą stronę ulicy.

Natomiast ona go nie unikała. Mariah zawsze śmiało stawiała czoło życiu. [teraz też to robiła. Gdy widziała go z daleka, szła

naprzód; gdy był w ogrodzie, nic przerywała podlewania kwiatów albo rozwieszania prania. Czasami nawet machała do niego ręką. A gdy ją ignorował lub udawał, że jej nie słyszy, wmawiała sobie, że Rhys nadal dochodzi do równowagi.

I święcie w tę wersję wierzyła.

Jednak to wyczekiwanie na jego reakcję powoli zaczynało ją męczyć. Na tym polegał kłopot z pracą w domu. Zbyt często w nim przebywała. I nawet zajęta pisaniem artykułu, podświadomie czekała na dzwonek do drzwi.

Musiała gdzieś wyjechać, zrobić wywiad z kolejną znaną osobistością. Ostatnio nie rwała się do tego, ponieważ źle się czuła, a rano miewała mdłości. Stella, jej szefowa, na pewno nie będzie dłużej tolerować takiego stanu rzeczy. Nie wiedziała przecież, że Mariah jest w ciąży.

Nikt nie wiedział - prócz Rhysa.

Wkrótce będzie musiała wszystkim o tym powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz. Powtarzała to sobie codziennie: jeszcze nie teraz.

Pod wieczór zadzwonił telefon. Straciła już nadzieję, że to Rhys. Serce jej nadal biło szybciej za każdym razem, gdy rozlegał się przenikliwy dzwonek aparatu.

Nie odebrała natychmiast, podniosła słuchawkę dopiero po kilku sekundach.

- Mam dla ciebie wywiad! - To była Stella.

- Kiedy? Z kim? Nie wiem, czy teraz dam radę... - zaczęła ostrożnie Mariah.

- Ten musisz zrobić! To sam Sloan Gallagher!

- Sloan Gallagher? On przecież nie udziela wywiadów. - Od lat nikomu nie udało się uzyskać zgody na wywiad z żyjącym w odosobnieniu gwiazdorem Hollywoodu. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie mieszka, w przeciwnym bowiem razie cały dziennikarski świat nie dałby mu chwili spokoju.

- Sand Gap w stanie Montana - oświadczyła z dumą Stella.
-I chce rozmawiać z tobą.

- Ze mną? Nigdy nie prosiłam go o wywiad.

- Otóż to! A wszyscy inni prosili. Chce zareklamować swój nowy film. Wyraźnie mu na tym zależy. I zgodził się na wywiad z tobą. Twierdzi, że postępujesz fair i jesteś rozsądna. Czytał twój artykuł o Gawinie McConnellu i był pod wrażeniem. Właśnie dlatego zadzwonił do naszej redakcji.

- Sam zadzwonił? - zdumiała się Mariah.

- Możesz wierzyć lub nie, ale tak było. - Stella nawet nie próbowała ukryć rozpiekającej ją dumy. - Chce, żebyś przyjechała na jego ranczo... na czas spędu i znakowania bydła. Pragnie, byś ukazała jego prawdziwą twarz i zadała kłam krążącym na jego temat plotkom.

- Spęd bydła? Gallagher hoduje bydło? Jest ranczerem?

- Zaprasza cię, byś obejrzała wszystko na własne oczy - potwierdziła Stella. - Mniej więcej na tydzień.

- Na tydzień?

- Tak powiedział. Powinnaś być z tego zadowolona - dodała Stella, najwyraźniej już nieco zirytowana brakiem entuzjazmu swej podwładnej.

Ale Mariah w ogóle nie była pewna, czy podejmie się tego zadania. A jeśli nadal będzie miała poranne mdłości?

Z drugiej strony pozostawanie w domu i wyczekiwanie na znak od Rhysa stawało się nie do zniesienia.

- Zgoda - powiedziała. - Pojadę.

Była wszędzie, gdzie spójrzył. A teraz nagle w ogóle jej nie widywał.

W pewnym sensie Rhys cieszył się z takiego obrotu sprawy. Podlewał rośliny z uśmiechem na ustach, ponieważ nie widział jej na tarasie. Nie powiewała tam również jej bielizna.

Biegał po parku, nie spotykając jej. Siedząc w salonie przy oknie i czytając „Timesa”, nie widział jej na schodach. Mógł nawet przystanąć na werandzie i przez pół godziny swobodnie rozmawiać z panią Alvarez, ciesząc się z faktu, że Mariah nie było w pobliżu.

Następnego dnia nie pokazała się również. Domyślił się, że wyjechała z miasta, by przeprowadzić z kimś wywiad. Często wyjeżdżała na dzień lub dwa.

Czasem jeździła do Hampton, niekiedy do Greenwich lub Cape, czasem do Marlha's Vineyard lub do Bucks County, a nieraz jeszcze dalej. W normalnych okolicznościach wiedziała-by, dokąd się udała.

Powinna to wiedzieć pani Alvarez. Ją trzeba by o to spytać...

Do diabła! - przywołał się do porządku. Co go to obchodziło. Byli przecież tylko przyjaciółmi. A teraz... Teraz już nawet i to nic jest takie pewne.

Sam poszedł na kolację do nowo otwartej tajskiej restauracji. Mariah uwielbiała tajską kuchnię. Ciekawe, czy już tu była...

Przez resztę wieczoru robił wszystko, by o niej nie myśleć.

A może spyta o to, gdy ją jutro zobaczy? Ostatecznie nie może przez cały czas jej tak jawnie unikać. Po prostu musi zachować dystans. Nie powinien dopuścić, by się zaangażowała.

Ale również następnego dnia Mariah nie było. I następnego...

Gdy nie zobaczył jej przez kolejne pięć dni, zaczął się poważnie zastanawiać, gdzie wyjechała, złościło go to, ponieważ nie chciał sobie tym zaprzętać myśli.

Tak, pani Alvarez mogłaby tutaj pomóc. Na pewno zakomunikowałyby otwarcie i z niejaką przyjemnością: „Przeprowadza wywiad z przystojnym prezydentem telewizyjnym w East Hampton” albo: „Jest w Newport z tym seksownym żeglarzem”, a wszystko w nadziei, że wzbudzi w nim zazdrość. Pani

Alvarez z niewiadomych względów uważała, że on i Mariah są dla siebie stworzeni.

Oczywiście, nie była to prawda. Rhys nie był stworzony dla nikogo. I nigdy nie bywał zazdrosny.

Ale przynajmniej wiedziałby, gdzie pojechała... Choć z drugiej strony, cóż by to zmieniło? I tak nie zamierzał zapraszać jej do tajskiej restauracji. Ani na mecz baseballu. Po prostu poszedł bez niej. Był też w Lincoln Plaza na nowym filmie.

Wieczorem, gdy wychodził pobiegać, pani Alvarez siedziała na werandzie, czekając na listonosza. Rhys powitał ją zdawkowo. Nie spodobał mu się sposób, w jaki na niego spojrzała. Uważnie. Z zaciekawieniem. Pytająco.

Czyżby Mariah powiedziała jej o dziecku? A może wścibska sąsiadka sama się wszystkiego domyśliła?

Mariah na pewno niedługo wróci. Ciekawe, jak będzie wyglądać, gdy ciąża stanie się widoczna?

Na tę myśl potknął się na dolnym stopniu schodów.

- Uważaj! - przestrzegła go pani Alvarez.

Rhys nic nie powiedział. Podniósł się, lekko poirytowany, nadal robiąc sobie wyrzuty, że stale myśli o Mariah.

Nie obchodziła go. Nic nie chciał o niej wiedzieć!

Sarah była w czwartym miesiącu ciąży, gdy...

Zaczął biec w stronę parku. Nie mógł pozwolić sobie na wspomnienia. Przyspieszył, minął przechodnia i popędził prosto przed siebie.

Po godzinie, gdy ciężko dysząc i słaniając się na nogach, wrócił, pani Alvarez nadal siedziała na werandzie.

- Pędzisz tak szybko, jakby ścigały cię demony - skonstataowała.

Trafne określenie, pomyślał.

Ósmego dnia zauważył, jak wysiadała z taksówki. Właśnie

wyłonił się zza rogu, wracając do domu po wieczornym biegu. I mimo że zaledwie kilka minut temu ledwie stał na nogach, podbiegł jak sprinter i chwycił ją za ramię, nim zdążyła otworzyć drzwi.

- Gdzie, u diabła, byłaś? - Wypowiedział te słowa szybciej, niż zdążył się nad nimi zastanowić.

Popatrzyła na niego. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną. I zaskoczona. Podobnie jak on sam.

Puścił jej ramię i cofnął się o krok.

- Wszyscy o ciebie pytali - burknął.

- Jacy wszyscy? - Mariah uniosła brwi.

- Na przykład Chloe... - Właściwie to nie była prawda. Ale mogła być.

W ubiegłym roku podczas remontu Mariah wynajęła mieszkanie Chloe, która zaprzyjaźniła się z Rhyssem. Czasami razem wychodzili, gdy Mariah przebywała w Hampton. A potem jesienią, zamiast wrócić do Iowa, do swego narzeczonego, Chloe poślubiła Gibsona Walkera, znanego nowojorskiego fotografa mody.

Teraz Chloe była w ciąży. Rhys dosłownie wpadł na nią dwa dni temu w sklepie. „Brakowało nam ciebie na kolacji u Mariah” - powiedziała. Bąknął, że był bardzo zajęty. A naprawdę, chcąc uniknąć tego przyjęcia, poszedł do pobliskiego klubu jazzowego. Nie miał ochoty z nikim się widzieć ani udawać, że nic się nie stało. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania. „Wpadnijcie do nas któregoś dnia. Pozdrów Mariah” - dodała na pożegnanie.

To chyba można uznać za przejaw troski, nieprawdaż?

- Powiedziała mi, że nie rozmawiała z tobą od czasu tego przyjęcia - zwrócił się do Mariah. - Zastanawiała się, gdzie się podziałaś.

- Byłam w Montanie. Przeprowadzałam wywiad.

Był nieco zdziwiony. Właściwie nigdy nie wyjeżdżała tak daleko. Miał ochotę o to spytać. Zawsze chętnie słuchał jej opowieści o przeprowadzanych wywiadach. Ciekaw był jej opinii o sławnych i bogatych. Mariah dobitnie rozumiała ludzi. Była urodzonym psychologiem. Potrafiła współczuć, wczuć się w sytuację innych.

Tym razem Rhys o nic nie spytał.

- Zaniosę na górę - powiedział, podnosząc jej walizkę.

Nie powinna dźwigać nic ciężkiego... w jej stanie, pomyślał. Starał się nie patrzeć na jej brzuch. Wolał nie wiedzieć, czy już coś widać...

Mariah szła przodem, Rhys tuż za nią.

Idąc po schodach na górę, zaczęła opowiadać mu o wywiadzie. Gdy wspomniała o Sloanie Gallagherze, Rhys uniósł brwi. Nawet on wiedział, że Sloan Gallagher nie udziela wywiadów. Był ciekaw, jak udało jej się nakłonić do rozmowy najbardziej rozrywanego, a równocześnie niesłuchanie kapryśnego gwiazdora. Jednak o nic nie zapytał. Po prostu szedł za nią po schodach, urzeczony widokiem jej ponętnych kształtów. Ten widok mocno na niego podziałał. Zmęczony biegiem i zły z powodu swej reakcji, Rhys zaczął ciężko dyszeć.

- Brak formy? - spytała, odwracając się na ułamek sekundy.

Nie odpowiedział. Począł, aż otworzy drzwi do mieszkania, a potem wszedł za nią do środka i postawił na podłodze walizkę.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego. - Napijesz się zimnej wody? - Głos jej brzmiał beztrąsko, jakby naprawdę nic między nimi się nie zmieniło.

Ale przecież się zmieniło! Diametralnie. Potrząsnął głową.

- Nie. - Odwrócił się do drzwi. - Muszę już iść.

Zaskoczona, zamrugała powiekami, a po chwili uśmiech zamarł jej na wargach.

Rhys zrobił wszystko, by tego nie zauważyć.

- Do zobaczenia - mruknął i zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

I tak rozwiały się wszelkie nadzieje. Sądziła, że jej wyjazd zrobi dobrze im obojgu. Ona nie będzie podrywać się do każdego telefonu lub dzwonka przy drzwiach, a Rhys będzie miał trochę czasu, by wszystko przemyśleć.

Wróciła do domu przepełniona nadzieją, że teraz wszystko się ułoży. Była gotowa otworzyć ramiona, pogodzić się i cieszyć wraz z nim. Jeszcze mieli szansę, by stworzyć naprawdę szczęśliwy związek.

Gdy podbiegł do niej i podniósł walizkę, ledwie się powstrzymała, by go nie objąć. Och, jak dobrze, że tego nie zrobiła! Było wyraźnie widać, że Rhys nadal nie jest gotów zaakceptować faktu, że zostanie ojcem.

Być może nigdy nie będzie gotów...

Właściwie po raz pierwszy zaczęła się poważnie nad tym zastanawiać. Ale jej umysł i serce nie chciały zrezygnować z marzeń. Kochała Rhysa. Trudno jej było uwierzyć, że odwrócił się plecami do tej miłości i do ich dziecka.

- Ale to bardzo możliwe - powiedziała, przyglądając się w lustrze swemu nagiemu ciału, które powoli zaczynało zmieniać kształty. Była w ciąży od prawie trzech miesięcy i robiła się coraz bardziej okrągła. I nadal miewała mdłości, choć już nie tak silne jak w pierwszych tygodniach. - Cóż, wygląda na to, że będę samotną matką...

Rhys powiedział, że pomoże jej finansowo. Ale nie takiego wsparcia potrzebowała. Pieniądze nie stanowiły problemu. Nie była bogata, ale dawała sobie radę. Przyjście na świat dziecka niczego nie zmieni. Chodziło jej o wsparcie duchowe, pomoc w trudnych sytuacjach.

Jednak nie zamierzała go błagać. Co to, to nie.

Uśmiechnęła się do niego na powitanie. Gdy szedł za nią po schodach, rozmawiała z nim. Czekwała na jakiś znak, że Rhys dochodzi do równowagi.

I nadal będzie czekać.

- Przyjęcie na cześć przyszłej matki? - Rhys zaniemówił z wrażenia. Patrzył jak osłupiały w słuchawkę, którą trzymał w dłoni. - Jakiej matki?

- Chloe, oczywiście - odparła radosnym tonem Izzy Mac-Cauley. - Znasz jeszcze kogoś spodziewającego się dziecka?

Zdając sobie sprawę, że było to pytanie retoryczne, Rhys zaczął oddychać swobodniej.

- Mężczyźni nie chodzą na takie imprezy - powiedział szorstko. To dla kobiet.

- Nonsens. Gib i Finn też tam będą - przekonywała Izzy. - I Sam Fletcher. - Izzy była osobą, która nie przyjmowała odmowy i Rhys o tym wiedział.

- Dobrze, przyjdę - zgodził się niechętnie.

- Przyjdiesz z Mariah?

- Raczej nie...

- Dlaczego? - dociekała Izzy.

- Ja... - rozpaczliwie szukał stosownej wymówki. - Akurat wybieram się z bratem na ryby... nie wiem, o której wrócimy.

- W porządku - zgodziła się Izzy. - Cieszymy się, że przyjdiesz. Brakowało nam ciebie na przyjęciu u Mariah. - Izzy odłożyła słuchawkę.

Popełnił błąd, zwiierzając się Dominikowi, że ma zaproszenie na uroczystość z okazji przyszłego macierzyństwa.

- Jeśli wrócimy później, mogę tam nie iść - powiedział. Wróćmy później, modlił się w duchu.

Ale Dominik uśmiechnął się chytrze.

- Przyjęcie na cześć przyszłej matki? Widzę, bracie, że prowadzisz bardzo bogate życie towarzyskie. Nie pozwolę, by ominęła cię taka impreza.

I dopilnował, by wrócili do miasta o odpowiedniej porze. Nawet zaofiarował się, że oczyści i schowa ryby do zamrażarki, by Rhys mógł spokojnie wykapać się przed wyjściem.

Rhys spojrział na brata z kwaśną miną, po czym udał się do łazienki. Cały czas miał wątpliwości, czy w ogóle powinien iść na to przyjęcie. A jeśli Mariah wszystkim powiedziała?

Do licha, w co się wpakował?

- Dobrej zabawy! - pożegnał go z uśmiechem Dominik.

Gdy Rhys dotarł na miejsce, wszyscy już tam byli.

- Chodź prędko! - Tansy i Pansy, siostrzenice Finna, wciągnęły Rhysa do środka. - Wszyscy są na dworze. - Poprowadziły go przez salon na taras, gdzie kilkanaście osób śmiało się i żartowało.

Lecz Rhys widział tylko Mariah.

Właściwie zobaczył dwie osoby. Mariah siedziała na bujanym fotelu razem z młodszym synem Finna i Izzy - dziesięciomiesięcznym Craschem. Śmiali się obydwoje...

- Napijesz się czegoś? - wyrwał go z zamyślenia Finn. - Piwo? Mrożona herbata?

- Piwo - bąknął Rhys, choć miał ochotę poprosić o whisky.
- Bez lodu.

Opróżnił butelkę niemal jednym haustem. Cały wieczór trzymał się z dala od Mariah. Było oczywiste, że nikomu nie powiedziała o swojej ciąży. Wszyscy kręcili się wokół Chloe, klepali ją po brzuchu i przypominali sobie, jak Izzy była taka gruba. Nikt nie wspominał, że za kilka miesięcy Mariah osiągnie podobne rozmiary.

Rhys, chcąc zająć myśli czymś innym, wdał się w rozmowę

z Finnem i Gibem o pracy swego brata Nathana - fotografa dzieki przyrody. Gib i Finn co prawda specjalizowali się w innym gatunku fotografii, ale zawsze chętnie rozmawiali o sztuce. Sam Fletcher natomiast i Damon Alexakis, handlujący ze Wschodem, rozprawiali o swoich podróżach. Sam wrócił właśnie z Singapuru, a Damon z Grecji. W ubiegłym roku Rhys był w obu tych miejscach albo na akcji, albo z wykładami.

Pogawędził również z Tansy i Pansy oraz z Izzy. Ale przez cały czas spoglądał na Mariah.

Wyglądała naprawdę cudownie. Roztaczała wokół siebie niezwykły blask. Zauważył to od razu, gdy tylko zobaczył ją z dzieckiem Izzy i Finna na rękach. Opiekowała się z nim tak swobodnie, tak naturalnie. Przekomarzała się, a niemowlę na swój sposób jej odpowiadało.

To dobrze, pomyślał. Za kilka miesięcy umiejętności te na pewno jej się przydadzą.

Potem zauważył, że podszedł do niej Finn i delikatnie wziął Crasha na ręce.

- Odpocznij trochę - powiedział. - Już dość cię wymęczył.
- Nic mi to nie przeszkadza - odparła Mariah z uśmiechem.
- Ciekawe, co byś powiedziała, gdybyś musiała to robić cały czas - westchnął Finn.

Rhys popadł w głęboką zadumę... Z wolna docierało do niego, że Mariah będzie teraz potrzebowała podpory i pomocy. Teraz i potem, kiedy dziecko przyjdzie już na świat.

Doszedł do przekonania, że comiesięczny czek to stanowczo zbyt mało.

Przez cały wieczór nic odezwał się do niej ani słowem. Rozmawiał ze wszystkimi, tylko nie z nią. Rozmawiał z mężczyznami i kobietami - z wszystkim prócz niej... i Chloe.

Mariah usiłowała zachować zimną krew. Starła się nie zwr-

cać na niego uwagi, ale to nie było łatwe. Gdy wychodziła, Izzy spytała Rhysa:

- A ty nie wychodzisz?
- Nie! - Energicznie potrząsnął głową.

Izzy nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Nie potrzebuję eskorty. - Mariah próbowała zachować obojętność.

Podziękowała Izzy i Finnowi za przyjęcie, uściskała Chloe i Giba, raz jeszcze życząc im wszystkiego najlepszego. Pożegnała się z resztą gości, lecz nawet nie spojrzała na Rhysa. Nie wiedziała, czy pozostali goście coś zauważyli. I nie obchodziło ją to. Pojechała do domu i poszła prosto do łóżka.

Nie mogła jednak zasnąć. Podenerwowana, kręciła się, przewracała z boku na bok. Dotykała brzucha, rozmyślając o rozwijającym się wewnątrz dziecku. Widok Chloe w zaawansowanej ciąży uświadomił jej, że już niedługo sama tak będzie wyglądać. A potem... Potem wyda na świat małego człowieka. Istotę, która będzie jej potrzebować.

Czy podoła nowym obowiązkom? Czy da sobie radę?

Oczywiście, musi dać sobie radę! Ale w środku nocy nie czuła się tak pewnie jak w jasnym świetle letniego popołudnia.

Na szczęście było właśnie ładne, letnie popołudnie, gdy re-dagowała ostatni wywiad, czując przypływ sił i energii. Słyszając dzwonek do drzwi, poszła szybko otworzyć, pewna, że to pani Aivarez przynosi mleko ze sklepu.

Za drzwiami stał Rhys we własnej osobie.

- Cześć.

Uśmiechnęła się, tym razem ostrożnie i niezbyt szeroko. Po raz kolejny wstąpiła w nią nadzieja. Może wczorajszy wieczór dał mu co nieco do myślenia? Może zrozumiał, że dziecko powinno mieć oboje rodziców?

Uśmiechnęła się nieco serdeczniej.

Rhys Przeszł z nogi na nogę; sprawiał wrażenie zde-nerwowanego.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - odezwał się po chwili. Wszedł do salonu, po czym odwrócił się i stanął naprzeciw niej. - Myślałem o tobie... O twojej ciąży... - przerwał.

Skinęła zachęcająco głową.

- Pod wpływem wczorajszego wieczoru zacząłem myśleć... Widok Giba i Chloe, Finna i Izzy, Sama i Josie sprawił, że pomyślałem...

- Rozumiem. - Mariah znów skinęła głową; serce biło jej coraz szybciej.

- Wygląda na to, że nie powinnaś sama... - powiedział. - Dziecko potrzebuje obojga rodziców... - Popatrzył na nią zakłopotany, potem opuścił wzrok na podłogę, a wreszcie wyrzwał przez okno.

- Masz rację - powiedziała Mariah. - Zgadzam się z tobą.

- Potrzebne ci będzie wsparcie duchowe - ciągnął. - Moralne. Nie tylko finansowe.

Dzięki ci Boże, pomyślała Mariah. Och, dzięki!

Rhys potarł dłonią kark.

- O tym właśnie myślałem. Mogę zająć się stroną finansową, ale... Ale jeśli chodzi o te inne sprawy... Wiem, jakie są ważne...

Mariah patrzyła na niego uważnie, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

Rhys włożył ręce do kieszeni dżinsów i zaczął kołysać się na piętach.

- Tak jak powiedziałem, to ważne, by dziecko miało oboje rodziców. Dwoje ludzi, którzy się nim zajmą... Będzie ci ktoś potrzebny... Pomyślałem więc, że... że powinnaś sobie kogoś znaleźć. To znaczy jakiegoś mężczyznę.

Mariah zdrętwiała. Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

- Chciałem, żebyś wiedziała - ciągnął - że nie będę mieć nic przeciwko temu, jeśli się z kimś związesz. Jeśli wyjdiesz za mąż - dokończył i spojrzał na nią tak, jakby spodziewał się podziękowań.

Stała jak skamieniała. Słowa Rhysa tłukły jej się po głowie przeraźliwym echem. Nie mogła dać wiary temu, co usłyszała.

- Jesteś wspaniałą kobietą, Mariah. Ładną. Elegancką. Wrażliwą. Możesz mieć każdego faceta, którego zechcesz. Nawet teraz, gdy jesteś w ciąży. Wiem, że niektórzy mężczyźni niezbyt chętnie godzą się na wychowywanie cudzego dziecka... Ale, jeśli kogoś wybierzesz, powiedz mu, że nie będzie się musiał martwić o pieniądze... - W głosie Rhysa pobrzmiwał desperacki ton. Mimo to postanowił brnąć dalej, ponieważ Mariah nadał milczała jak zaklęta. - I co o tym myślisz? - spytał w końcu lekko poirytowany.

Nagle odzyskała głos. Z rozmachem otworzyła drzwi i przytrzymała je szeroko otwarte.

- Myślę - wycedziła - że możesz iść do diabła! Wynos się stąd!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak śmiał coś podobnego zaproponować! Tak jakby mogła po prostu wyjść na ulicę i złapać męża na łąasso! Całkiem obcy człowiek miał zaopiekować się nią i dzieckiem innego mężczyzny!

Nie - nie mężczyzny! Rhys Wolfe nie zasługiwał na to miano. Był gadem.

- Wiesz, że mam rację, Mariah - zdażył jeszcze powiedzieć, gdy zatrzaszkiwała za nim drzwi. A potem, słuchając jak schodzi po schodach, rzuciła w drzwi książkę. I posłała za nim najgorszy epitet, jaki przyszedł jej do głowy.

Na koniec wybuchła płaczem. Płakała po raz pierwszy, od czasu gdy odkryła, że jest w ciąży. Wymiotowała, bała się, wymyślała sobie od idiotek i zamartwiała się na śmierć, ale nie płakała. Aż do dziś.

To tylko hormony, zapewniała siebie. To nie z powodu Rhysa. On nie był tego wart.

Ale łzy płynęły nadal. Łzy rozczarowania, złości, żalu, straconych złudzeń i zdruzgotanych marzeń. Płakała aż do zupełnego wyczerpania.

- Weź się w garść - powiedziała w końcu do siebie. Wytarła oczy, wydmuchała nos i zmusiła się do spojrzenia w lustro.

Zobaczyła tam zapłakaną trzydziestojednoletnią kobietę z zapuchniętymi oczami, czerwonym nosem i potarganymi włosami. Nie mogła sobie wyobrazić, aby jakikolwiek mężczyzna się nią zachwyił. Rhys nie wiedział, o czym mówi.

Mylił się również, twierdząc, że jest elegancka. Gdyby była, nie doprowadziłaby się do takiego stanu.

Wrażliwa? Owszem, okazała mu swą wrażliwość, gdy współczuła mu w bólu. Ale za to teraz oczekiwała jego dziecka.

Swojego dziecka. On tego dziecka nie chciał.

Przyłożyła dłonie do lekko zaokrąglonego brzucha.

- Jesteśmy teraz tylko ty i ja - szepnęła, wysilając się na słaby uśmiech. Postanowiła stać przed lustrem tak długo, aż poczuje się silna, pewna siebie i odważna.

Trwało to całe wieki. Wreszcie osiągnęła swój cel. Zrozumiała, że nie była całkiem sama. Miała przyjaciół. Miała rodzinę. Będą ją wspierać, gdy im wszystko wyzna.

Nazajutrz zjawiła się jej siostra, Sierra.

Mariah wstała wcześniej z mocnym postanowieniem, że jej życie od teraz potoczy się normalnym rytmem. Niestety, znowu poczuła mdłości. Zrobiła sobie filiżankę herbaty, wzięła kilka krakersów i wróciła do łóżka. Leżała prawie do jedenastej, czytając książkę i robiąc notatki do następnego artykułu.

Gdy zadzwonił dzwonek, poczuła niepokój. Opanowała się jednak i ze słabym uśmiechem na ustach poszła otworzyć drzwi.

- Nie mów tylko, że cię obudziłam - powiedziała Sierra, spoglądając na potargane włosy Mariah i jej nocną koszulę.
- Wyglądasz jeszcze gorzej niż ja. - Ale sterczące, fioletowe włosy Sierry, obcisły top i workowate spodnie khaki były nieodłączną częścią jej wizerunku.

- Pracuję - skłamała Mariah. - Nie zdążyłam się uczesać.

Sierra nie uwierzyła w wymówkę siostry, prześliznęła się obok niej i weszła do salonu.

- Wiesz, zauważyłam, że powiększył ci się biust - oświadczyła, obrzucając ją baczny spojrzeniem.

Mariah instynktownie skrzyżowała ręce na piersiach i popa-

trzyła na siostrę ze złością. Zapach wydobywający się z torby, którą przyniosła Sierra, przyprawił ją o zawrót głowy.

Sierra wzruszyła ramionami.

- Może to dlatego, że rzadko widuję cię bez stanika - powiedziała niedbale. - Ale naprawdę myślę, że urósł ci biust. A jeśli przytrafiło się to tobie, może i dla mnie nie jest jeszcze za późno. - Sierra z dezaprobatą spojrzała w dół na swą prawie płąską klatkę piersiową. - Jak ci się to udało?

Mariah nie zamierzała odpowiadać na to pytanie.

- Co lak pachnie? - spytała w zamian. - I co tu właściwie robisz?

- Właśnie skończyliśmy zdjęcia w parku - powiedziała radośnie Sierra. - Wstałam więc do O'Toole'a i przyniosłam ci lunch. - Rzuciła papierową torebkę prosto w ręce Mariah. - Twoje ulubione!

Ten zapach! O Boże, oby tylko nie były to...

- Mielona wołowina z kapustą! - Sierra uśmiechnęła się triumfalnie.

Mariah zgięła się wpół, upuściła torbę i pobiegła do łazienki.

- Mariah! - Sierra wybiegła za nią. - Mariah, dobrze się czujesz?

- Dobrze... - wyjąkała Mariah, gdy tylko odzyskała oddech. Przysiadła na zimnej krawędzi wanny i zwiesiła głowę. Przed oczami jej wirowało.

- Masz grypę? - dopytywała się Sierra zza drzwi. - Dlatego byłeś w łóżku?

- Nie. - Mariah z wysiłkiem wstała. Oparła się o umywalkę i oddychała głęboko. Po chwili umyła twarz, potem zęby. Poklepała się po policzkach, by nabrały koloru. Oddychała nierówno, powtarzając sobie w duchu, że czuje się dobrze.

Jednak nie była w stanie otworzyć drzwi.

- Może... może wyniosłabyś tę torbę, Sierro? - poprosiła.

- Już wynoszę.

Mariah słyszała oddalające się kroki siostry. Potem trzask otwieranych i zamykanych frontowych drzwi.

Wzięła głęboki oddech, polem następny. Czuję się dobrze, powtarzała w duchu, otwierając drzwi do łazienki.

Siostra patrzyła na nią z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy. Skrzyżowały spojrzenia. Wreszcie Mariah zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi? - spytała wojowniczo.

Sierra potrząsnęła głową, jakby chciała odrzucić myśl, która nagle zaświtała jej w głowie. Potem zmrużyła oczy.

- Piersi... Szeroki podkoszulek... Mdłości... Mariah, ty jesteś w ciąży?

Skrzyżowała ręce na brzuchu i wyniośle spojrzała w niebieskie oczy Sierry.

- I co z tego?

- Och, mój Boże! - Oczy Sierry omal nie wyskoczyły z orbit. - A więc to prawda.

- To niekoniecznie musi być złe. - Mariah objęła się jeszcze mocniej w talii.

- Oczywiście, że nie - przyznała szybko Sierra. - Tylko nigdy nie pomyślałam, że... to właśnie ty... - Znowu potrząsnęła głową, jakby nie mogła poradzić sobie z nowiną, którą przed chwilą usłyszała. - Przecież to ty byłaś zawsze...

Mariah wiedziała, co Sierra miała na myśli.

Zawsze była tą lepszą. Tą, która nie popełnia błędów, nie robi głupstw. Taka była, to fakt. Sierra uchodziła zaś za osobę niekonwencjonalną, nowoczesną i lekkomyślną. Wszyscy wiedzieli, że jeśli któraś z córek państwa Kelly wpakuje się w kałużę, to na pewno nie będzie nią Mariah.

- Muszę mieć trochę czasu, by przyzwycząić się do tej myśli.

- Sierra zmusiła się do wesołego uśmiechu; nie wiedziała tylko, co ma zrobić z rękami. - A kto jest szczęśliwym ojcem?

- Nieważne.

- Nieważne? - Spojrzała na siostrę badawczo. - Czyżby o niczym nie wiedział?

- Wie.

- I co?

- T nic. - Marian ze sztuczną swobodą wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. - On nie chce być ojcem.

- Powinien pomyśleć o tym wcześniej - rzekła kwaśno Sierra.

- Daj już spokój!

Ale nie zanosilo się, by Sierra zrezygnowała z dalszych indagacji. Na razie zamknęła usta, oparła się o ścianę, wzięła głęboki oddech, a potem wolno wypuściła powietrze.

- Czy ktoś już wie? - spytała.

- Tylko on. A teraz ty.

Sierra przetrawiła tę wiadomość. Wyraz niepokoju przemknął po jej twarzy.

- Nie myślisz chyba... - zająknęła się speszona. - Nie chcesz chyba...

- Nie, nie chcę! Zamierzam urodzić dziecko. I zatrzymać je! Nigdy nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. - Popatrzyła z wyrzutem na siostrę.

- W porządku - szybko wycofała się Sierra. - Wcale nie myślałam, że... - Oczywiście, Mariah nigdy by tego nie zrobiła. Znała ją zbyt dobrze. Sierra włożyła ręce do kieszeni workowatych spodni. Chcąc odzyskać równowagę, wzięła głęboki oddech, potem następny. - Dobrze - powiedziała w końcu, zacierając ręce. - Zawsze chciałam zostać cicią. Mogę ci w czymś pomóc?

Mariah wzięła siostrę w objęcia.

- Już to zrobiłaś, kochana. - Nie zdawała sobie sprawy, jak ważne było dla niej wsparcie Sierry, dopóki go nie otrzymała. -Dziękuję ci.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Sierra odwzajemniła uścisk. - To oczywiste, że ci pomogę. Ty zawsze stałaś po mojej stronie.

To była prawda. Mariah zawsze była jej najlepszą przyjaciółką i stronnniczką. Broniała prawa młodszej siostry do bycia sobą - do noszenia kolorowych włosów, obcisłych bluzek i marten-sów, mimo że reszta młodzieży w Kansas wolała klasyczne dzinsy. Wzięła też stronę Sierry, gdy ta spotykała się z chłopakiem ubierającym się na czarno i obwieszonym łańcuchami.

Sierra raz jeszcze uściskała siostrę, potem cofnęła się o krok i spojrzała uważnie na brzuch Mariah.

- To widać - powiedziała z zadumą w głosie. - Nie tylko po piersiach. Rośnie ci brzuch. I cała promieniejesz! - Przyjrzała się twarzy siostry. - Wyglądasz ołśniewająco. Kiedy to się stanie?

- Za sześć miesięcy.

Sierra policzyła na palcach.

- A więc na Boże Narodzenie!

- Tak twierdzi lekarz - przyznała Mariah.

- To będzie dobra wymówka, żebyś nie jechała na święta do domu. Rodzice mogą przyjechać tutaj.

- Myślisz, że przyjadą? - zapytała Mariah sceptycznym tonem. Rodzice-farmerzy zawsze omijali Nowy- Jork szerokim łukiem.

- Założę się, że tak! Wiesz, jak bardzo mama pragnie zostać babcią.

- Ale w tych okolicznościach...

- To fakt, że woleliby, aby nasze życie było doskonałe. Jestem jednak pewna, że będą szczęśliwi, iż jakoś dajemy sobie radę, a ty jeszcze obdarzysz ich wnukiem. Przyjadą - prorokowała z uśmiechem Sierra.

Mariah nabrała otuchy. Sierra miała całkowitą rację. Rodzice

mogli pragnąć, by zaszła w ciążę w innych okolicznościach, ale na pewno udziela jej wsparcia i z radością powitają na świecie pierworodnego wnuka.

- Masz coś do jedzenia? - spytała Sierra, wracając nagle do codzienności. - Umieram z głodu.

- I przeze mnie musiałaś wyrzucić lunch. - Mariah uśmiechnęła się ponuro.

- Daj spokój. Masz krakersy? I masło orzechowe? - Sierra pomaszerowała do kuchni.

- Żyję krakersami - powiedziała Mariah, idąc za nią. - Lekarz twierdzi, że mdłości wkrótce się skończą, zresztą już czuję się lepiej. - Usiadła i przyglądała się, jak Sierra smaruje masłem krakersy.

Ułożyła na talerzu stos krakersów, pokroiła jabłko na małe kawałki i otworzyła puszki z napojem imbirowym. Potem usiadła przy stole naprzeciwko siostry.

Mariah wypijała trochę napoju, zjadła krakersa, potem sięgnęła po następny. Siostra obserwowała ją w milczeniu. Dopiero gdy Mariah uśmiechnęła się i nie pobiegła do łazienki, Sierra odechnęła z ulgą.

- Pójdiesz dziś wieczorem ze mną i Jeremym na mecz baseballu? - spytała. - Jeremy kupił bilety.

Jeremy, aktualny chłopak Sierry, był osobistym trenerem wielu gwiazd Broadwayu.

Na twarzy Mariah odmalowało się wahanie.

- Możesz zabrać ze sobą przyjaciela - namawiała Sierra.
- Może ojca twojego dziecka?

- Nie - oświadczyła Mariah stanowczo.

- W takim razie przyprowadź Rhysa.

Mariah zakrztusiła się krakersem.

- Nie! - wykrztusiła kaszląc.

Sierra uderzyła ją w plecy.

- W porządku? - spytała z niepokojem. - Dlaczego nie może być Rhys? Chodził przecież z nami... Myślałam, że jesteście ... - Głos jej zamarł. Przechyliła głowę i badawczo spojrzała na siostrę.

Mariah próbowała zignorować to spojrzenie.

- Po prostu nie chcę iść z Rhysem - powiedziała twardo.

- W porządku. - Sierra wzruszyła ramionami. - Możesz zaprościć, kogo chcesz. - Zanurzyła dłoń w torebce i wyciągnęła bilety.

- Ale nie znam nikogo, kto...

- W takim razie przyjdź sama - zgodziła się Sierra, by uniknąć dalszego sporu. - Tylko przyjdź! - Rzuciła siostrze wyzywające spojrzenie, które stosowała, odkąd były małymi dziewczynkami. - Spróbuj nie przyjść!

Po takim dictum Mariah nie miała wyboru.

Gdy Sierra wychodziła frontowymi drzwiami, Rhys podlewał ogródek.

Zawsze lubił siostrę Mariah, choć nie akceptował jej ekscentrycznych fryzur i strojów. Odstawił konewkę i uśmiechnął się do Sierry.

- Witaj! Co słychać?

- Ty łajdaku! - rzuciła mu w twarz i kopnęła go w łydkę.

Mieszkając na parterze, Rhys zawsze wiedział, co się dzieje u sąsiadów z góry. Widział, kto wchodził i wychodził.

Gdy usłyszał kobiecy śmiech, rozpoznał go natychmiast. Śmiech Mariah zawsze brzmiał tak radośnie i szczerze. Potem usłyszał inny, ożywiony kobiecy głos, bez wątpienia należący do Sierry. Natomiast nie rozpoznał po głosie mężczyzny, który odzywał się raz po raz. Przypuszczał, że był to chłopak Sierry.

To miło z jej strony, że wzięła ze sobą Mariah na randkę. Zastanawiał się, czy ona wie...

Doleciały jego uszu fragmenty rozmowy. Zorientował się, że byli na meczu. Nie poprosiła go, by z nimi poszedł!

Oczywiście, wcale się tego spodziewał i wcale nie chciał, by to zrobiła. Nie chciał...

Do licha, chodziło tylko o to, że zazwyczaj razem wychodzili na takie imprezy...

Trzy lata temu po raz pierwszy zabrał ją na mecz ligowy. A teraz chodziła na mecze bez niego...

Właściwie powinien się z tego cieszyć, skoro marzył o tym, by Mariah poznała jakiegoś przyzwoitego faceta...

Jednak ta myśl, wbrew oczekiwaniom, nie uczyniła go szczęśliwym.

Mariah była zadowolona, że dała się namówić i poszła na mecz. Rozerwała się, na chwilę przestała myśleć o sobie. Oczywiście, przez ostatnie trzy miesiące zajmowała się również pracą zawodową, ale od kiedy odkryła, że jest w ciąży, raczej nie udzielała się towarzysko. Raz tylko wybrała się na lunch z Chloe i raz poszła na kolację do Finna i Izzy.

Nie była w stanie się odprężyć. Niestety, cały czas czekała na Rhysa...

- On nie jest wart czekania - przekonywała spokojnie Sierra. - Jeśli chcesz, mogę kopnąć go w tyłek.

Mariah roześmiała się. Śmiała się po raz pierwszy od kilku miesięcy.

- Na razie kopnęłam go w łydkę - dodała Sierra.

Mariah na chwilę straciła oddech. A potem znów Wybuchnęła śmiechem.

- Nie wierzę! - zawołała.

- Ale to prawda - zapewniła Sierra. - Nie wiem dlaczego, ale kiedyś uważałam go za miłego faceta.

- On robi, co może - powiedziała cicho Mariah.

- Też mi coś, przecież on nie chce mieć nic wspólnego z tobą i dzieckiem! - parsknęła Sierra.

- Pomoże mi finansowo.

- Wielkie rzeczy! Każdy sąd przyznałby ci alimenty! To łajdak! - powiedziała dosadnie Sierra. - Potrzebujesz lepszego mężczyzny.

- On też mi to powiedział.

- Rhys powiedział ci, abyś znalazła sobie innego mężczyznę? - Sierra wpatrywała się z niedowierzaniem w siostrę szeroko otwartymi oczami.

Mariah wolno skinęła głową.

- Uważa, że ktoś powinien mi pomagać. Doszedł do tego wniosku, gdy zobaczył Giba i Chloe oraz Finna i Izzy...

Sierra przez chwilę nic nie mówiła. Potem wolno pokiwała głową.

- Nie jestem pewna, czy to jedno kopnięcie wystarczy - powiedziała z zadumą.

Sierra nigdy nie robiła niczego połowicznie.

- Doszłam do wniosku, że Rhys miał rację - oświadczyła nazajutrz, wkraczając do mieszkania Mariah i wymachując kartką. Sporządziłam dla ciebie listę facetów!

- Co takiego? O czym ty mówisz?

- O znalezieniu ci mężczyzny.

- Nie chcę żadnego mężczyzny!

- Nonsens. To są bardzo mili faceci. I bardzo, bardzo chcą cię poznać! - Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Co też ci przychodzi do głowy? - Mariah podejrzliwie zmrużyła oczy.

- Mnie? - Sierra zrobiła minę niewiniątka. - Przecież ja chcę tylko ci pomóc.

- Kim są ci faceci? - Mariah wyjęła z rąk siostry karteczkę.

Spodziewała się, że zobaczy nazwiska byłych chłopaków Sierry. Ale nie rozpoznała ani jednego.

- To moi znajomi - odparła swobodnie Sierra, odbierając jej listę. - Damien wpadnie dziś wieczorem. Pójdzie z nami na kolację. Jutro umówiłam cię na lunch z Kentem. W sobotę Brandon zabierze nas na koncert do Carnegie Hall...

- Poczekaj, Sierr! - przerwała jej Mariah. - Co ty wyprawiasz?

- Spełniam tylko życzenie Rhysa - powiedziała Sierra spokojnie. Figlarny błysk zatańczył w jej oczach. - Będziesz się dobrze bawić, zobaczysz, siostrzyczko!

- Ale ja nie chcę...

- Chcesz Rhysa, wiem. - Sierra już się tego zdażyła domyślić. - I nie możesz go mieć. Musisz jednak żyć dalej. Normalnie żyć. - Spojrzała na siostrę z irytacją. - Zaufaj mi.

Skrzyżowały wzrok i trwały tak dłuższy czas. Wreszcie Mariah przyzwalająco skinęła głową.

- A więc pamiętaj, dziś wieczorem Damien - powtórzyła Sierra. - Bądź gotowa o siódmej.

Powiedział jej, by zaczęła wychodzić. Ale przecież nie co wieczór!

Był pewien, że po wczorajszym wypadzie na mecz Mariah dzisiejszy wieczór spędzi w domu. Znał ją. Miała przyjaciół, ale nie prowadziła ożywionego życia towarzyskiego. A może jej dobrze nie znał?

Teraz przypominała pszczołę uwijającą się w ulu.

Za każdym razem gdy wyjrzał przez okno, widział, jak wychodziła uczepiona ramienia jakiegoś mężczyzny. Z początku sądził, że to przyjaciele Sierry, która rzeczywiście lubiła być w wirze wydarzeń. Ale Sierra, jak się niebawem okazało, przez cały czas prowadziła się z tym samym długowłosym chłopakiem. A u boku Mariah co dzień pojawiał się nowy facet!

Owszem, powiedział jej, by sobie kogoś znalazła, ale nie przypuszczał, że zabierze się do dzieła z taką energią. Cóż o nich mogła wiedzieć! Z pewnością nawet dobrze nie znała tych wszystkich facetów!

I nie musiała robić takiej zadowolonej miny za każdym razem, gdy mijał ją w ich towarzystwie! Na pewno wszyscy nie mogli być aż tak wspaniali! W dodatku wracała stale o dziesiątej albo jedenastej wieczorem. Czy kobieta w jej stanie nie powinna więcej sypiać?

On też powinien sypiać więcej. A tymczasem pół nocy niespokojnie miotał się po mieszkaniu, czekając na Mariah.

Powinien wyjechać. Potrzebował wakacji.

Gdy zadzwonił jego brat, Nathan, z propozycją wyjazdu do Vancouver, chwycił w lot nadarżającą się okazję. Nathan fotografował naturę. Nigdy nie był żonaty i podróżował po całym świecie, robiąc zdjęcia do kolorowych magazynów, jak również do własnych albumów artystycznych.

Podobnie jak Rhys, Nathan dawno zrezygnował z pracy w rodzinnej firmie, choć uczynił to z mniej oczywistych powodów niż jego brat. Nikt z rodziny nie wiedział, dlaczego pewnego dnia nagle wyjechał. I nikt o to nie pytał.

Nathan kontaktował się z rodziną na swoich własnych zasadach. Nie lubił być wypytywany i sam też pytał niewiele.

Rhysowi to bardzo odpowiadało, ponieważ nie miał nastroju do zwierzeń.

Spotkał się z bratem w Vancouver. Spędzili razem niezapomniany tydzień, podczas którego wędrowali początkowo wzdłuż wybrzeża wyspy, potem wynajęli łódź i przewodnika, by zwiedzić mniejsze wysepki. Spali w śpiworach wprost na ziemi, żywili się jedzeniem z puszek, a kilka razy ulewny deszcz przemoczył ich do suchej nitki.

Rhys uwielbiał pionierskie życie. Właśnie w takich warun-

kach odpoczywał. Tutaj, gdy tylko myśli jego wędrowały do Mariah, z łatwością potrafił odsunąć je na bok. *

Tydzień minął stanowczo zbyt szybko. Nathan wyjechał do Paryża, gdzie mieszkał, gdy nie robił zdjęć. Rhys wrócił do Nowego Jorku.

Jednak powrót do domu nie był tak miły jak zazwyczaj. Uświadomił sobie nagle, że nieuchronnie wraca do tłumu przystojnych facetów kręcących się u boku Mariah. Zatrzymał się przy budce telefonicznej na lotnisku i zadzwonił do swego drugiego brata, Dominika.

- Nie wybrałybyś się znowu na ryby? - spytał.

Dominik razem z ojcem prowadził rodzinny interes. Starał się udowodnić seniorowi rodu, że jest kompetentny, doskonale daje sobie radę i potrafi zadbać o interesy firmy, co było prawdą, choć ojciec nadal tego nie dostrzegał.

- Dlaczego nie? - odpowiedział Dominik. - Przyjadę po ciebie jutro z samego rana. Możemy znów wybrać się do Montauk.

Ta perspektywa ułatwiła mu powrót do domu. Świadomość, że jutro rano znów wyjeżdża, podziałała krzepiąco.

Wieczorem zrobił pranie. Unikał, jak mógł salonu i możliwości patrzenia na werandę. Nie chciał widzieć Mariah, jak wchodzi i wychodzi z kolejnymi facetami.

Nic go to nie obchodziło.

Rano wstał bardzo wcześnie. Gdy zjawił się Dominik, był już gotów, w dodatku w wyśmienitym humorze.

- Złowimy mnóstwo ryb! - Dominik uśmiechał się szeroko, gdy Rhys wsiadał do samochodu. - Będzie wspaniale!

- Co się stało, że dałeś się tak łatwo wyciągnąć? - spytał Rhys.

Brat wzruszył ramionami, nie spuszczać wzroku z jezdni.

- Musiałem. Ojciec ostatnio ciągle się czepia. Wtrąca się we wszystko.

- Myślałem, że zostawił ci wolną rękę.
- Tu nie chodzi o pracę... - W głosie Dominika pojawiła się nuta zakłopotania.

Rhys uniósł brwi. Czy kiedykolwiek ich ojciec nie był całkowicie pochłonięty pracą?

Ale Dominik nic nie powiedział. Dopiero na moście Throg Neck, odezwał się, mocno zaciskając dłonie na kierownicy.

- Znalazł kolejną kobietę.
- Tata? - Rhys jeszcze wyżej uniósł brwi.

Stary Douglas Wolfe, wdowiec od dwudziestu lat, znany był z tego, że od śmierci żony nie związał się żadną kobietą, a co dopiero - z kolejną!

- Tata chce się z nią ożenić? - dopytywał się Rhys.
- Nie, nie chce się z nią ożenić! - Dominik postawił twardo spojrzenie. - Chce, bym to ja się z nią ożenił! - Przesunął dłonią po włosach. - Czuję się osaczony, prawie zaszczyty... Gdybyś widział te tabuny kobiet... Skąd on je wszystkie ściąga?

Dominik nie był wcześniej żonaty, a jedynie bardzo bliski tego kroku. Był zaręczony. I został porzucony w dniu ślubu.

Dwanaście lat temu zamierzał poślubić Carin Campbell, córkę jednego ze współników ojca. Małżeństwo to można by uznać nie tyle za wyrok niebios, co raczej za wynik umowy handlowej. Dzięki niemu miało dojść w przyszłości do fuzji D. Wolfe Enterprises z Campbell Limited.

Do letniskowego domu Wolfe'ów na Bahamach zaproszono wszystkich miejscowych notabli. Rhys został drużbą. Nie było tylko Nathana, któremu w ostatniej chwili trafiła się okazja wyjazdu na Antarktydę.

Rhys pamiętał, jak stali z Dominikiem na werandzie, gdzie miał odbyć się ślub, i czekali na Carin.

Nie pojawiła się nigdy.

Później dowiedziano się, że tego samego ranka odleciała z wyspy. Nikt nie wiedział dokąd.

Nikt jej już później nie widział, nawet ojciec. I nigdy więcej w obecności Dominika nie wspomniano jej imienia ani też nie mówiono o małżeństwie.

Rok później, gdy odbywał się ślub Rhysa i Sarah, Dominika na nim nie było. Pojechał do Hongkongu w interesach. Celowo.

- Ojciec próbuje naraić mi kolejną dziewczynę- powiedział Dominik ponurym tonem. - Dostaje białej gorączki.

- Ale dlaczego?

- W przyszłym miesiącu kończy siedemdziesiątkę. Twierdzi, że czuje się staro, jedną nogą jest w grobie. „Nasz ród wymiera” - zacytował Dominik, udatnie naśladowując głos Douglasa Wolfe'a. - On chce mieć wnuki.

Rhys nagle odwrócił wzrok. Ojciec szalałby ze szczęścia, gdyby dowiedział się o Marian... Na pewno osobiście zaciągnąłby syna do ołtarza. Rhys zamknął oczy.

- Świat nie może kręcić się wokół jednego egocentrycznego starca - mruzczał Dominik.

- To prawda - poparł go brat.

Obaj patrzyli prosto przed siebie. Wspominali swoją przeszłość - ból porażki, stracone nadzieje, rozwiane marzenia.

- Nie zrobię tego - rzekł ochrypłym głosem Dominik.

- Masz rację - powiedział Rhys.

On też tego nie zrobi.

Łowili ryby przez pięć dni. Codziennie rano wypływali łódką i sunęli wzdłuż wybrzeża. Nie rozmawiali już ani o kobietach, ani o ojcu. Gawędzili o pogodzie, rybach i baseballu. To były tematy bezpieczne.

Złowili mnóstwo ryb. Było cudownie. Tak samo wspaniale jak z Nathanem. Rhys znów poczuł siłę. Panował nad sytuacją.

Nie zdenerwował się nawet wtedy, gdy w drodze powrotnej Dominik zasugerował, by brat podzielił się rybami z sąsiadką.

- Z tą z góry, wiesz... Jak jej na imię?
- Mariah - padła odpowiedź.
- Na pewno się ucieszy - zapewnił Dominik.

Możliwe... Może należało tak postąpić? Wpaść do Mariah i zanieść jej trochę świeżych ryb? Zachować się po przyjacielsku. Zwyczajnie. Obojętnie. Może stosunki pomiędzy nimi wrócić kiedyś do normy... Tak, tak właśnie zrobi.

Wyobraził sobie, jak idzie na górę i puka do drzwi. A potem wręcza Mariah świeżą rybę i życzy smacznego.

Jednak gdy wieczorem poszedł na górę, Mariah nic było w domu.

Rozzłościł się nie na żarty. Z siatką ryb w ręce odwrócił się na pięcie i po prostu tupnął nogą.

- Wrócił pan? - Na schodach pojawiła się pani Alvarez.
- Tak. Wpadłem, żeby podarować Mariah trochę złowionych przeze mnie świeżych ryb,
- Mariah wyszła. - Pani Alvarez uśmiechnęła się konfidencko.
- Z Kevinem.

Kimże, u diabła, był Kevin? Rhysowi zrzędała mina.

- Da jej pan te ryby jutro - uspokajała go pani Alvarez.
- Dziś wróci późno.
- Jak późno? - zainteresował się mimo woli.
- Nic wiem. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Gdy człowiek dobrze się bawi, nie patrzy na zegarek.

Rhys patrzył z nie ukrywaną złością, jak pani Alvarez wchodzi po schodach. Zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Było wystarczająco późno!

Głośno tupiąc, zszedł na dół i schował ryby do lodówki. Potem wziął do ręki notes i machinalnie zaczął go przeglądać.

Znał mnóstwo kobiet... Na pewno któraś będzie chętna, by się z nim zabawić. Carrie? Annie? A może Teresa?

Zdecydował się na tę ostatnią. Zadzwoił i zaprosił ją do kina. Dawniej zgodziłaby się z ochotą.

Teraz też się nie opierała. Właściwie była zachwycona jego propozycją.

- Możemy pójść do mnie... - powiedziała, gdy wyszli z kina, prowokująco głaszcząc rękę Rhysa. - Na drinka.

Odsunął się.

- Dziś jestem okropnie zmęczony - powiedział ziewając.
- Może innym razem.

Gdy dotarł do domu, zauważył, że u Marian nadal pali się światło. Dochodziła pierwsza w nocy.

Kobiety w ciąży potrzebowały dużo snu. Tego był pewien.

Jutro, gdy zanieś jej rybę, nie omieszka o tym napomknąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Och, to ty.

Mariah, ubrana w pognieciony podkoszulek i szorty, opierała się o framugę drzwi. Było wpół do dziewiątej rano. Miała podkrążone oczy, potargane włosy i wyglądała bardzo źle.

- Miałaś ciężką noc? - zapytał Rhys, nie kryjąc złości. Nie wiedział, o której wróciła do domu, ale gdy o drugiej nad ranem kładł się spać, u niej nadal paliło się światło.

Dziś była blada - właściwie prawie sina - i nie wyglądała na szczęśliwą, że go widzi.

On też nie był szczęśliwy, że ją widzi. Zwłaszcza w takim stanie.

- Wyglądasz okropnie - powiedział szczerze.

- Dzięki za komplement.

- A byłoby inaczej, gdybyś więcej wypoczywała - dodał karcącym tonem. - Nie powinnaś hulać do późna w nocy.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- Powinnaś więcej sypiać - ciągnął niestrudzenie. - Kobiety w twoim stanie potrzebują więcej odpoczynku.

- Kobiety w moim stanie? - W jej głosie słychać było złość.

- To znaczy kobiety w ciąży - wyjaśnił przez zaciśnięte zęby. - Powinnaś sypiać co najmniej osiem godzin dziennie. I nie powinnaś pić...

- Nie piłam!

- I powinnaś dobrze się odżywiać. Proszę! - Pokazał siatkę

z rybami. - Byłem z Dominikiem na rybach. Usmaż sobie na obiad. Bogactwo kwasów nienasyconych. W sam raz dla ciebie.

Zamrugła gwałtownie oczami, twarz jej pobladła. Nie powiedziała ani słowa. Mogłaby chociaż podziękować, pomyślał ze złością. Powinna wziąć ryby, zamiast patrzeć na nie przerażonym wzrokiem.

Ale Mariah gwałtownie przyłożyła dłoń do ust, odwróciła się i uciekła.

- Co się dzieje? - Rhys, ściskając siatkę z rybami, wszedł do mieszkania. Nim zdołał dopaść drzwi łazienki, zatrzasnęły się przed nim z hukiem. - Co ci jest...?

Nagle poczuł zapach ryb i doznał olśnienia. Błada twarz Mariah, jej nieprzytomne oczy - wszystko stało się jasne.

- Do diabła - wymamrotał. - Zaraz wróć! - zawołał przez drzwi.

Nie wiedział, czy go usłyszała, czy nie. W podskokach zbiegł ze schodów, włożył ryby z powrotem do lodówki, dokładnie umył ręce, a potem pędem wrócił na górę.

- Mariah? - Drzwi do łazienki były nadal zamknięte.

Nie odpowiedziała. Rhys niespokojnie przemierzał pokój. Skąd mógł wiedzieć, że codziennie rano męczyły ją mdłości?

Za drzwiami panowała martwa cisza. Zapukał.

- Mariah? - powtórzył głośniej. - Dobrze się czujesz?

Nadal nic. Po dłuższej chwili usłyszał szum spływającej wody. Potem zapadła cisza. Wreszcie Mariah uchyliła drzwi.

Nadal była przeraźliwie blada. Jednak tym razem postanowił tego nie komentować. Zaczął wyciągać ku niej rękę, ale nagle się rozmyślił. Wsunął dłoń do kieszeni.

- Jak się czujesz? Już lepiej? - Oczekiwał potwierdzenia.

- W porządku - odpowiedziała suchym, ochryplym głosem.

- Nie widzisz, że wspaniale? - Popatrzyła na niego z niechęcią, minęła go i weszła do sypialni.

- Nie miałem pojęcia - bąknął, idąc tuż za nią. - Nie wiedziałem, że masz mdłości. Nie sądzisz chyba, że przyniosłem ci te ryby celowo...

Położyła się na łóżku i zakryła oczy ramieniem.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Czego jeszcze chcesz? - burknęła.

- Do diabła, Mariah! Powiedziałem już, że nie zrobiłem tego rozmyślnie! Co mogę dla ciebie zrobić?

- Myślę, że już zrobiłeś wystarczająco dużo. - Nadal zasłaniała oczy.

Nie widział jej twarzy. Musiał ją zobaczyć, by się przekonać, że wszystko jest w porządku.

Usiadł na łóżku. Gdy odsunęła się instynktownie, chwycił jej rękę i zdjął ją z twarzy. Próbowwała się opierać, ale Rhys tylko wzmocnił uścisk.

Policzki miała lekko zaróżowione, pewnie z powodu złości, a nie dlatego, że czuła się lepiej. Dopiero teraz zauważył, że wyglądała na bardzo zmęczoną i wymizerowaną.

- Przyniosę ci szklankę wody - zaproponował. - Powinnaś się napić.

- W lodówce jest napój imbirowy - zgodziła się niechętnie.

Po chwili Rhys wrócił z kuchni ze szklanką napoju w ręce.

Mariah zmieniła pozycję na półleżącą i oparła się o wezgłowie łóżka. Rhys podał jej szklankę i stojąc obserwował, jak małymi łykami popijała napój.

- Przestań się na mnie gapić - powiedziała.

Jednak nie mógł przestać. Po raz pierwszy od dawna przyglądał jej się z bliska. Wyglądała tak krucho... Był zaskoczony. Mariah nigdy dotąd nie sprawiała takiego wrażenia.

- Przepraszam. - W końcu odwrócił wzrok i zaczął chodzić po pokoju. Ale nic było tu nic interesującego, na czym mógłby

skoncentrować uwagę. Poza Mariah. - Lepiej ci? - Zerknął na nią ponownie.

- Tak, już jest dobrze - powiedziała, nie kryjąc niechęci.
- Nie musisz tu stać.

- Czy tak jest codziennie? - Zignorował wyraźną aluzję, że powinien jak najszybciej wynieść się do diabła.

- Tylko wtedy, gdy ktoś przynosi mi ryby, mielone kotlety albo kapustę. Mogę jeść tylko krakersy.

- Przynieść ci trochę krakersów?

- Nie jestem głodna - oświadczyła stanowczo.

- Ale musisz jeść. - Wyglądała bardzo mizernie. Nie przypominał sobie, by wcześniej sprawiała wrażenie tak chudej.

- Masz zyskiwać na wadze, a nie tracić.

- Już nie ubywa mi na wadze. - Wzruszyła ramionami. - Na początku trochę schudłam. To normalne.

- Często wymiotowałaś? - Nie mógł powstrzymać się przed zadaniem kolejnego pytania.

- Czasami. Lekarz przepisał mi jakieś lekarstwa, ale ich nie brałam. Nie chcę brać więcej lekarstw, niż muszę. Zresztą czuję się coraz lepiej. Zwłaszcza gdy trochę dłużej poleżę w łóżku.

- Zazwyczaj wstawałaś wcześniej - rzekł z przekąsem. Musiał jej wytknąć, że wróciła do domu zbyt późno. Gdzie, u diabła, się podziewała? W ostatniej chwili powstrzymał się od zadania tego pytania. To nie jego sprawa. Nie powinien pytać.

- Dziękuję ci za troskę. - Tym razem głos miała miłszy. Odstawiła szklankę i spojrzała wprost na Rhysa. - Naprawdę nie musisz tu stać - powtórzyła. - To tylko poranne mdłości.

- Wiem, co to jest - rzekł ochryple. Sarah też je miała... Przynosił jej krakersy i sodę. Opiekował się nią. Czuwał.

Zadzwonił telefon. Mariah podniosła słuchawkę.

- Cześć, Kevin! Właśnie wstaję. - Przeciągnęła się. - Mnie również się podobało. - Przerzuciła kartki w terminarzu, leżą-

cym obok łóżka, a potem powiedziała: - Tak, będzie wspaniale. Do zobaczenia, Kevin.

Rhys dosłyszał radość w jej głosie, gdy zegnała Keviną.

- To jeden z twoich chłopaków? - spytał kwaśno; całe jego współczucie pierzchnęło.

- W pewnym sensie. - Mariah uśmiechnęła się zagadkowo.

- I będziesz czuła się wystarczająco dobrze, by wyjść z nim dziś po południu? - Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Wolno skinęła głową.

- Tak myślę: - I po chwili dodała: - Jestem tego pewna.

Popatrzył na nią ze złością.

- W porządku. Rób, co chcesz. Może kiedy zjawi się Kevin, poczujesz się na tyle dobrze, że przyjdiesz do mnie po rybę!

Wychodząc, trzasnął drzwiami mocniej, niż powinien.

Kevin uśmieje się, gdy mu o tym powie. Kevin Maguire był biurowym casanową, facetem, za którym uganiały się wszystkie kobiety w wydawnictwie.

Pracowali razem i choć się lubili, Mariah nigdy nie umawiała się z nim na randki. Słyszał bowiem z tego, że zmiętał kobiety tak często, jak Sierra kolor włosów. A już na pewno nie zainteresowałby się kobietą w ciąży.

Dlatego Mariah była bardzo zdziwiona, że zgodził się z nią spotykać, gdy mu to zaproponowała. Powiedziała uczciwie, że chce go wykorzystać jako zastonę dymną.

- Dlaczego nie? - oświadczył. Szeroki uśmiech opromienił jego przystojną twarz.. - Nigdy nie umawiałem się z kobietą w ciąży.

- A więc stoisz przed nowym wyzwaniem - zażartowała.

- Każda kobieta, z którą umówiłem się w Nowym Jorku, marzyła o małżeństwie - powiedział. - A ty nie. Przynajmniej nie ze mną.

Mariah zawsze lubiła Kevina. Lubiła z nim pracować. Pomyślała, że woli umawiać się na kolację z nim niż z facetem, którego wynajdzie dla niej jej lekko zwariowana siostrzyczka.

Dobrze się z Kevinem bawili i nigdy nie nudzili się w swoim towarzystwie. Zabierał ją do modnych restauracji, do klubu jazzowego, do kina czy na spacer do parku. Był naprawdę miłym kompanem.

- Dobrze się dzisiaj bawiłem - powiedział pewnego dnia, odprowadziwszy ją pod drzwi. Dotknął jej policzka, a ona przez moment zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby zechciał ją pocałować. Przez cały wieczór nie wykonał żadnego gestu, świadczącego o takich zamiarach, a jednak...

Lecz Kevin uśmiechnął się tylko szeroko i puścił do niej oko.

- Dobranoc, Mariah.

- Dobranoc, Kev.

Koleżanki z biura były nie tylko zazdrosne, ale nie potrafiły też ukryć zdziwienia.

- Co takiego masz w sobie, czego my nie mamy? - pytały.

Dziecko, myślała Mariah, ale na razie nie chciała się tą nowiną z nimi dzielić.

Dowiedziała się również, dlaczego Kevin tak bardzo bał się małżeństwa.

- Ja już mam dziewczynę - powiedział kiedyś smutnym tonem. - W domu, w Cincinnati. A właściwie będę miał, gdy tylko ona trochę zmądrzeje. Na razie nie chce się ustatkować. Każe mi umawiać się z innymi... - Wykrzywił usta. - I tak robię. Ale nie angażuję się poważnie w te przelotne znajomości i nigdy nie dopuszczam do zbytnej zażyłości. Jeśli o mnie chodzi, jesteś dla mnie wybawieniem - dokończył.

Patronka kawalerów w Nowym Jorku! - pomyślała sarkastycznie Mariah.

Trzeba jednak przyznać, że Kevin znakomicie wywiązywał się ze swej roli.

Miała zatem mężczyznę. I ograniczyła się do jednego partnera.. Widywała go bardzo często. Do diabła prawie co wieczór!

Cóż, powinien być zadowolony. Do diabła, był zadowolony! Przecież sam tego chciał. To dobrze, że Mariah znalazła mężczyznę, który będzie ją wspierał. Mężczyznę, który będzie jej przynosił krakersy i sodę, będzie masował jej plecy i pójdzie z nią do szkoły rodzenia... A potem pewnego dnia pójdzie na wywiadówkę do szkoły, nauczy dziecko prowadzić samochód... Tak, właśnie tego chciał, ale musiał się dowiedzieć, czy ten facet dorósł do tak poważnych zadań.

Był przystojny, to fakt. Czarnowłosa, smukły, muskularny i wysoki. Chyba nawet wyższy od niego...

Na oko sądząc, był mniej więcej w wieku Mariah. Ubrany zawsze na sportowo. Rhys nigdy nie widział go w garniturze.

Dominik zawsze nosił garnitury. Rhys również, gdy pracował u ojca. Czyżby ten facet nie pracował? Nie był chyba bezrobotny? Trzeba się będzie tego dowiedzieć.

Zadzwoił do Dominika.

- Jeśli chcesz kogoś prześwietlić, to co robisz? - zapytał.
 - Masz na myśli konkurenta?
 - Tak... to znaczy nie. - Rhys podrapał się po głowie. - Do diabła, sam nie wiem! Chcę się czegoś dowiedzieć o pewnym facecie. Kim jest z czego żyje, rozumiesz?

Zapadła cisza. Rhys miał wrażenie, że słyszy niewypowiedziane pytanie Dominika: „Po co?”.

- Jak on się nazywa? - spytał wreszcie Dominik.
 - Kevin...
 - Kevin, i co dalej?
 - Nie wiem, ale się dowiem. - Ale jak, u diabła?

- Dobrze się czujesz, bracie? - spytał Dominik.

- Chcę... chcę tylko zrobić przysługę przyjacielowi - próbował się usprawiedliwiać.

- W porządku - powiedział Dominik, ale chyba nie był przekonany. - Dowiedz się, jak ma na nazwisko. Pomogę ci.

Ale Rhys nie wiedział nawet, jak się do tego zabrać. Nie miał zbyt dużo czasu. Pojutrze musiał wracać do pracy.

Robiąc wściekłe miny, długim, nerwowym krokiem przemierzał pokój. Przyszło mu na myśl, by zadzwonić do Sierry i po prostu zapytać o Kevina. Jednak zaraz przypomniał sobie, jak ostatnio go potraktowała, i zmienił zdanie. Zastanawiał się nad telefonem do Izzy lub Chloe. Ale odrzucił i ten pomysł, wspominając, jak oziębłe powitała go Izzy w ubiegłym tygodniu, gdy spotkali się w sklepie spożywczym. Zazwyczaj taka rozmowna, teraz nie odezwała się do niego ani słowem. A Chloe, którą spotkał w restauracji „Zanzibar”, tylko spojrzała na niego z ukosa i spytała z wyrzutem: „Jak mogłeś, Rhys?”.

No tak. Wszyscy już wiedzieli. Może powinien coś wyjaśnić. Ale wiedział, że tego nie robi. Nie chciał, by inni się wtrącali w jego sprawy. To była sprawa jego i Mariah. Nikogo więcej.

A więc mógł spytać tylko jedną osobę - samą Mariah.

Postanowił tak zrobić. Stanie z nią twarzą w twarz, Wyrazi swoje obawy. Im więcej o tym myślał, tym bardziej ten właśnie sposób rozwiązania problemu wydawał mu się słuszny, rozsądny, odpowiedzialny i dojrzały.

Począł do wieczora - do północy! - aż Kevin przyprowadzi Mariah do domu. Uczesał się, zapiał koszulę i dziarsko poszedł na górę.

Otworzyła prawie natychmiast.

- Zapomniałeś...? Och! - urwała, a uśmiech zniknął z jej twarzy. - Czego chcesz?

- Chcę znać jego nazwisko.

- Co? - Zamrugęła oczami. - Czyje nazwisko?

Rhys skinął głową w kierunku schodów, po których przed chwilą zbiegł Kevin.

- Twojego faceta - powiedział opryskliwie.

Mariah szerzej otworzyła oczy, a na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Co powiedziałaś? - spytała lodowatym tonem.

- Dobrze słyszałaś. Jak nazywa się twój kochanek? Czy można mu ufać? Czy ma pracę? - Nie zamierzał jej oskarżać. Chciał po prostu zadać kilka pytań i otrzymać odpowiedzi.

- Idź do diabła. Rhys! - Zaczęła zamykać drzwi.

- Poczekaj! - Zdążył zablokować je nogą.

- Jak śmiesz? Jak śmiesz wtrącać się w nie swoje sprawy?!

- Jako twój przyjaciel...

- Przyjaciel? - To zabrzmiało jak oskarżenie.

Rhys poczuł na twarzy rumieniec.

- Tak, przyjaciel - powtórzył wolno i dobitnie. - I właśnie dlatego...

- Jestem z tobą w ciąży, a ty nie chcesz mieć nic wspólnego ani ze mną, ani z naszym dzieckiem. I nadal uważasz się za mojego przyjaciela? - W jej głosie słychać było niedowierzanie.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej...

- No, oczywiście! - zakpiła.

- Nie chcę, by ktoś cię wykorzystał...

- Odczep się ode mnie! - Najwyraźniej miała dość. - Wynoś się, Rhys! Już raz ci to powiedziałam. - Przycisnęła mocniej drzwi i naparła na nie całym ciałem. Twarz miała czerwoną z wysiłku.

Do licha, mogła zrobić sobie krzywdę. Westchnął i cofnął się trochę. Drzwi niemal zatrzasnęły mu się na twarzy.

- Doskonale! - zawołał. - Wyjdź za niego, proszę bardzo.

Rób, co chcesz. - Odwrócił się i ciężkim krokiem zszedł ze schodów.

„Wyjdź za niego... Rób, co chcesz”.

Mariah przez całą noc przetrawiała te słowa. Analizowała, doszukiwała się ukrytych znaczeń... A rano nadal nie mogła uwierzyć w to, że naprawdę padły.

W jednej chwili Rhys niemal wdarł się do jej mieszkania, by dowiedzieć się czegoś o Kevinie, a zaraz potem stwierdził, że poczynania Mariah obchodzą go tyle, co zeszłoroczny śnieg... Nie, to nie miało sensu.

- Może jednak go obchodzisz - powiedziała Sierra. - Tym razem przyniosła na śniadanie obwarzanki, które Mariah smakowały. - To dziwne...

Jeszcze miesiąc temu tak właśnie zinterpretowałyby zachowanie Rhysa. Ale teraz niczego już nie była pewna. Bała się mieć nadzieję.

- Naprawdę znam kilku fajnych facetów - nalegała Sierra. - Ale ty nadal o nim myślisz, prawda?

- Chyba tak - przyznała Mariah z goryczą. Naprawdę wiele dałaby za to, by wywietrzył jej z głowy.

A może ona go jednak obchodziła...?

Wyjeżdżał z uczuciem ulgi. Już w drodze na lotnisko zrobiło mu się lżej na sercu. Oddychał głębiej. Łatwiej. Jeszcze kilkaset kilometrów i odzyska równowagę. A po tygodniu spędzonym w Teksasie, gdzie wygłosi cykl wykładów na temat walki z pożarami szybów naftowych, znów będzie sobą.

Tego był pewien.

Lecz gdy w samolocie zobaczył kobietę w ciąży, nie mógł się powstrzymać, by nie pomyśleć o Mariah. Na lotnisku zauważył magazyn, do którego pisała, z reklamą jej artykułu na okład-

ce. Miał wrażenie, że go śledzi, że podąża za nim, i wszelka ucieczka pozbawiona jest sensu.

Kupił magazyn sportowy, tygodnik polityczny i gruby kryminał. Zajmie się lekturą, by jakoś zabić czas.

Ale okazało się, że nie potrafi się skupić na żadnym tekście. Artykuł o baseballu był zbyt długi, a kryminał okazał się nudny jak flaki z olejem. Na domiar złego, cóż za ironia losu, główna bohaterka intrygi oczekiwała dziecka.

Gdy skończył wykłady, wynajął samochód i pojechał do South Padre Island. Czuł się trochę jak na wakacjach, a ten okres nieodmiennie kojarzył mu się z Mariah.

Zastanawiał się, czy nadal męczą ją poranne mdłości. Zastanawiał się, czy jest przy niej Kevin, czy spędza z nią każdy wieczór...

Po tygodniu był zadowolony, że może zmienić miejsce pobytu. Ale w Santa Barbara również nie potrafił oderwać się od swoich problemów.

Zaczął się martwić, czy wyjeżdżając z domu, zakręcił kran z zimną wodą. Oczywiście, że tak! Jak mógłby o tym zapomnieć! Był rozsądnym, opanowanym i odpowiedzialnym facetem! Stale wyjeżdżał z domu i zawsze wszystko zostawiał w najlepszym porządku. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

A jeśli jednak...?

Może powinien zadzwonić do Mariah, poprosić, aby zeszła na dół i sprawdziła?

No tak, oczywiście, zadzwoni do niej i poproś, by sprawdziła, czy dziesięć dni temu zakręciłeś kran! - kpił z samego siebie. Na pewno zakręciłeś! - powtarzał sobie w duchu.

Jednak przez cały czas dręczyło go dziwne uczucie niepokoju. Tak jakby coś ważnego umknęło jego uwagi.

Zadzwonił do Mariah.

- Dlaczego dzwonisz? - Była zaskoczona, że słyszy jego głos. - Co się stało?

- Nic - odpowiedział szorstko. - Mam... mam tylko mały kłopot z kranem w kuchni... Miał przyjść hydraulik i naprawić. Czy mogłabyś zejść na dół i sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy woda jest zakręcona?

- Nie widziałam żadnego hydraulika...

- Przez cały czas obserwowałaś moje frontowe drzwi?

- Nic, oczywiście, że nie! W porządku, pójdę i sprawdzę.

- Nic musisz się spieszyć. Zadzwoń później. - Dał jej dziesięć minut. Uznał, że to wystarczy. Postanowił niby to od niechcienia zapytać Mariah, jak się czuje.

- Nie było tam żadnego hydraulika - powiedziała dziesięć minut później. - Chyba wszystko jest w porządku.

- Dziękuję, że poszłaś. - Zbagatelizował całą sprawę. - A jak się miewasz?

- Dobrze. - Była jednak zdziwiona, że o to spytał.

- Nadal masz mdłości?

- Nie.

- Więc czujesz się lepiej? - Do licha, cóż za błyskotliwa konwersacja!

Zapadła cisza. Po chwili Rhys odezwał się znów:

- Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku. I dziękuję. Do widzenia. - Odłożył słuchawkę.

O Boże, co z niego za dureń! Po co w ogóle dzwonił? Co mu to dało? Nic. Absolutnie nic.

Dziwne, ale tej nocy spał lepiej.

Dziecko rosło. W czwartym miesiącu Mariah nie mieściła się już w dżinsy, nawet z rozpiętym suwakiem. Wydawało jej się, że na tym etapie ciąży Chloe nie była aż tak gruba.

W piątek jadła kolację z Chloe i Gibsonem i Chloe potwier-

dziła jej spostrzeżenia. Przyjaciółka lada dzień miała rodzić i nie mogła już znaleźć dla siebie wygodnej pozycji.

- Dopiero w piątym miesiącu potrzebowałam ubrań ciążowych - powiedziała, a potem spojrzała na swój brzuch i westchnęła. - Teraz trudno uwierzyć, że kiedyś byłam szczupła. - Z zazdrością spojrzała na wciąż niezbyt zmienioną sylwetkę Marian. - Cóż, ale to już nic potrwa długo, prawda, dzidziusiu?

- Oby nie teraz! - wtrącił z udawanym przestraczem Gibson. - Nie skończyliśmy nawet jeść.

- Właściwie nie powinnam obżerać się przed porodem - poinformowała go Chloe.

- Myślisz, że to już? - Tym razem wyglądał naprawdę na przerażonego. Podniósł się z krzesła i patrzył na żonę z mieszaniną niepokoju i troski.

- Nie! - Chloe uśmiechnęła się łagodnie. Położyła rękę na jego dłoni i delikatnie ją uściśnięła. - Dam ci znać z odpowiednim wyprzedzeniem.

Gibson z westchnieniem ulgi opadł na krzesło.

- Ona wie, że wpadnę w panikę. - Uśmiechnął się do Marian. - I nabija się ze mnie.

Zawsze gdy obserwowała Gibsona i Chloe albo Finna i Izzy, ścisnęła ją w gardle. Byli w sobie tak zakochani, jak zżyci ze sobą. Można powiedzieć, że dobrali się jak w korcu maku.

Ponieważ się kochali, przemknęło jej przez myśl. Zazdrościła im tej miłości - mocnej i odwzajemnionej. Uśmiechnęła się z zadumą.

Po powrocie do domu myślała o Rhysie. A nie powinna. To nie wychodziło jej na dobre. Już więcej do niej nie zatelefonował. Właściwie nie wiedziała, dlaczego w ogóle do niej zadzwonił. Ta głupia historia z hydraulikiem! Czyżby to był tylko pretekst?

Co to właściwie mogło oznaczać?

Obudził ją dzwonek telefonu. Przeżrana usiadła w szarym świetle poranka i podniosła słuchawkę. Zegarek na nocnej szafce pokazywał godzinę piątą rano.

- To chłopak! - wykrzyknął uszczęśliwiony Gibson.

Oszołomiona Mariah z wielką ulgą opadła z powrotem na poduszkę.

- Słyszysz mnie?! - Gibson teraz krzyczał tak głośno, że pewnie można go było usłyszeć po drugiej stronie Atlantyku.

- Trzy kilo i sześćdziesiąt deko! Pięćdziesiąt cztery centymetry! Włosy blond! I oczy Chloe. Przysięgam ci, Mariah, on ma fiołkowe oczy!

- Dziewczyny będą za nim szalały. - Mariah uśmiechnęła się miękko.

Gib również się uśmiechnął.

- Na wszystko przyjdzie czas - powiedział wzruszony. - Najpierw musi podrosnąć.

- Wpadnę później, żeby go zobaczyć - odezwała się Mariah. - Jak miewa się Chloe?

- Dobrze. - Odetchnął z ulgą. - Zdziwiająco dobrze. Była bardzo dzielna. A ja o mało nie umarłem od samego patrzania.

Mariah, słuchając oddanego męża i dumnego ojca, uśmiechała się rzewnie. Jakże bn był zakochany w Chloe! Nigdy nie widziała mężczyzny tak załamane go i rozstrojonego jak on w zeszłym roku, gdy Chloe wróciła do Iowa, a Gibson myślał, że po to, by poślubić Dave'a. Był wówczas kłębkim nerwów, a teraz był nieprzytomny ze szczęścia.

- Moje gratulacje, Gib - powiedziała, odkładając słuchawkę na widełki.

Wzięła poduszkę, wsunęła ją pod kołdrę i mocno przycisnęła do brzucha. Inne kobiety miały mężów do przytulania... Mariah miała tylko poduszkę.

Szybko zamrugała powiekami, czując, że ma wilgotne oczy. Na pewno ze wzruszenia z powodu Giba, Chloe i ich nowo narodzonego synka... To nie miało nic wspólnego z jej własnym życiem.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła do swojego dziecka. - Damy sobie radę, rozumiesz? - Wsunęła rękę pod poduszkę i pogłaskała się po brzuchu. - Jesteśmy teraz jedną drużyną. - Poczowała drżenie pod palcami. - Co to? Och, mój Boże! - Usiadła na łóżku, odrzuciła kołdrę i patrzyła na swój brzuch. Siedziała tak bez ruchu dłuższą chwilę. Wycze-kiwała.

I znów coś się w środku poruszyło! Jakby trzepot skrzydeł motyla... Wybuchnęła śmiechem. Poczowała się silniejsza, szczęśliwsza. Nie była już sama przeciwko całemu światu. Było ich dwoje.

I znów to się stało. Tutaj. Nie, tam... O Boże, to ruchy dziecka!

Przyciskała do siebie poduszkę, to śmiejąc się, to płacząc.

- Och, Rhys - szepnęła - nie wiesz, ile tracisz.

Tego popołudnia poszła do szpitala. Nie mogła się już doczekać, by poznać Brendona Gibsona Walkera.

Spał w kołysce w pokoju Chloe, z jedną rączką w buzi, drugą wyciągniętą w powietrze. Mariah pochyliła się i przyglądała mu z uwagą. Co prawda koloru oczu nie mogła dojrzeć, za to włosy miał takie same jak Chloe, a nos był miniaturką nosa Gibsona. Wyglądało na to, że mały odziedziczył najlepsze cechy obojga rodziców.

Brendon otworzył oczy, zamrugał powiekami i ziewnął. Wtedy zauważyła, że jego oczy naprawdę są fiołkowe.

- Podaj mi go - poprosiła Chloe.

- Ja? - Mariah spojrzała na nią wystraszona.

- Powinnaś spróbować - odparła Chloe z konspiracyjnym uśmiechem. - Niedługo sama to będziesz robić.

Mariah niepewnie wzięła Brendona na ręce. Był taki... małeńki i bezradny. Wpadła w panikę. Jak da sobie radę z tak kruchą istotką?

Gdy dotknęła jego rączki, automatycznie zacisnęła ją wokół jej palca. Zakwilił, kichnął i spojrzał na nią pozbawionymi wyrazu oczami.

- Jeszcze chwila, kochanie - szepnęła i zaniósła go Chloe. Brendon instynktownie znalazł pierś matki i zaczął ją ssać.

To było takie naturalne i... niezwykle piękne. Gdy zastanawiała się nad tym, znów poczuła ruchy własnego dziecka. Wydała cichy okrzyk zdziwienia i dotknęła brzucha.

- Kopie cię, prawda? - spytała Chloe. Posłała synkowi czułe spojrzenie. - On też tak robił.

- To jeszcze nie jest kopanie, co najwyżej lekki dotyk - odpowiedziała Mariah. - Nadal ma ogromną przestrzeń życiową.

- Byłem zachwycony i wzruszony, gdy po raz pierwszy wyczułem pod dłonią ruchy Brendona - wtrącił Gibson. - Właściwie dopiero wtedy uwierzyłem, że on naprawdę istnieje. - Znów uśmiechnął się do żony.

Mariah została ze szczęśliwie powiększoną rodziną Walkarów jeszcze kilka minut. Żegnając się, powiedziała:

- Mam wizytę u lekarza. Comiesięczną kontrolę. Dziś zrobią mi USG.

- Zobaczysz więc dziś małego pływaka - powiedział Gib.

Nie zdążyła jeszcze o tym pomyśleć. Gdy wychodziła, Gib i Chloe uśmiechali się do niej, do swego nowo narodzonego synka i do siebie. Uśmiechali się do całego świata.

Po raz pierwszy Rhys był naprawdę zadowolony, że jedzie walczyć z ogniem.

Podczas pobytu w Santa Barbara wyciągnięto go w środku nocy z łóżka i wysłano na Alaskę. Rhysowi to odpowiadało. Gdy tylko dotarł na miejsce, skoncentrował się na prowadzeniu akcji. Wykorzystał całą swoją energię i wszystkie umiejętności.

Ale nawet wtedy nie wszystko potrafił kontrolować. Nie panował na przykład nad swoimi snami...

Ponieważ śniła mu się Marian, chodził rozdrażniony i poirytowany. Był zły na siebie, że nie jest w stanie o niej zapomnieć.

Musiał o niej zapomnieć! Ale kłopot polegał na tym, że nie potrafił.

Gdyby przynajmniej wiedział, że ktoś się nią zaopiekuje... Gdyby mógł upewnić się, że Kevin... - nadal nie znał jego nazwiska - nadaje się na męża i ojca, wszystko wyglądałoby inaczej.

Do licha, nie miał od niej żadnych wiadomości. A musiał się dowiedzieć. Jeden telefon więcej nie zaszkodzi, nieprawdaż? Przecież nie dzwonił do niej codziennie...

Zerknął na zegarek. W. Nowym Jorku była czwarta po południu - odpowiednia pora, by złapać ją w domu, nim znów wyjdzie na randkę z Kevinem.

Wystukał numer, nim zdążył przemyśleć swoje posunięcie. Telefon dzwonił i dzwonił. Potem odezwał się głos Mariah nagrany na automatyczną sekretarkę. Rhys zaniemówił. Nie był przygotowany na taki wariant.

Nagle Mariah podniosła słuchawkę.

- Halo? - Dyszała ciężko, tak jakby biegła.

- Tu Rhys - odezwał się szorstkim tonem. - Weszłaś właśnie do domu?

- Tak... - Umilkła.

Czekał, ale nadal milczała.

- Mariah? Dobrze się czujesz?

- Dobrze.

Wspaniale! Kolejna bezsensowna rozmowa.

- Poczułam ich ruchy, Rhys - odezwała się znów cichym, lecz podnieconym głosem. - Byłam dziś u lekarza i robili mi USG. - Głos miała coraz bardziej podekscytowany.

Rhys powtarzał jej słowa w myślach, nie mógł ich jednak zrozumieć i czuł, jak z wolna ogarnia go panika.

- Co ty mówisz? Poczułaś, jak się ruszają?

Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Tak, Rhys! To bliźnięta!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bliźnięta?

Rhys był oszołomiony. Wstrząśnięty. Przeżony.

Zadzwoił do niej tylko po to, by się upewnić, że ów Kevin będzie dobrym ojcem dla dziecka, a tu nagle okazało się, że Mariah urodzi bliźnięta!

Wziął głęboki oddech. Potem kolejny. Ale nic mu nie pomagało. W głowie miał zamęt, brakowało mu powietrza.

Dwoje dzieci?!

- Skąd wiesz? - spytał ochryple, gdy w końcu zdołał coś wykrztusić.

- Widziałam je!

- Gdzie?

- Na USG. To było niesamowite... One tam były... - Od-
dychała szybciej, głos miała podniecony i nadal brzmiało w nim
niedowierzanie. - Ruszały się, unosiły, tak jakby pływały, rozu-
miesz?

Niczego nie rozumiał. I niczego nie potrafił sobie wyobrazić.
Otworzył usta, a potem je zamknął, nie mając pojęcia, co powi-
nien powiedzieć.

- Z początku nie zdawałam sobie sprawy z tego, co widzę
- ciągnęła Mariah. - Lekarz musiał mi wszystko wyjaśniać.
Dopiero później... Rhys, tam jest ich dwoje! To było zachwy-
cające! Naprawdę zachwycające! Rhys... jesteś tam? - spytała.

- Tak... - Tylko tyle z siebie wydusił. Nic więcej. Rozejrzał
się wokół w poszukiwaniu krzesła.

- Rhys, czy ty...? Nie, oczywiście, że nie. - Głos jej się zmienił. Był teraz pozbawiony entuzjazmu, spokojny, bezbarwny. - Chciałabym... - Ale nie dokończyła tej myśli.

Żałował, że w ogóle zadzwonił.

- Czy... czy z tobą wszystko będzie w porządku? - spytał naiwnie.

- Oczywiście, że tak - odparła niemal opryskliwie. - Czuję się dobrze.

- To świetnie... - zareagował odruchowo. - Cieszę się, że to słyszę.

- Właściwie, po co zadzwoniłeś? - Była wyraźnie rozdrażniona.

- Po co? Och, nic takiego... - Nie miał już odwagi spytać o Kevina. Przecież nie rozmawiali teraz o jednym dziecku! Kto, u diabła, podejmie się wychowania bliźniąt? - Akurat mam przerwę w pracy... Jestem na Alasce... Przyjechałem tu trzy dni temu... I pomyślałem, że zadzwonię do ciebie... - plątał się niemiłosiernie. Mariah się nie odzywała, musiał więc kontynuować. - Podlewasz mój ogródek, prawda?

- Owszem, podlałam właśnie twoje pomidory. - Głos miała obojętny.

Nastąpiła długa przerwa. Dwoje? Będzie miała bliźnięta? - gorączkował się Rhys. Nadal nie mógł pogodzić się z sytuacją.

- Ktoś dzwoni do drzwi - powiedziała nagle. - Muszę iść otworzyć.

Kevin? - przemknęło Rhysowi przez głowę. Czuł jednak, że nie powinien o to pytać.

- Dbaj o siebie, Mariah - powiedział.

- Dobrze. - Odłożyła słuchawkę.

Rhys powoli zrobił to samo. Stał nad aparatem, nie mogąc się poruszyć. Próbował myśleć o bliźniętach... Próbował się z tym pogodzić. Nie mógł.

Mariah będzie miała dwoje dzieci? On, który nie chciał stałego związku i unikał wszelkiej odpowiedzialności, będzie ojcem bliźniąt?

To niemożliwe. Może wcale nie dzwonił do Mariah? Może to był koszmarny sen? Oby...

Przez trzy tygodnie łudził się tą nadzieją. Martwił się i denerwował.

Gdy skończyli zadanie na Alasce, wysłano ich do Wenezueli. Zazwyczaj było mu obojętne, dokąd jechał i na jak długo. Przedtem nie miało to żadnego znaczenia. Ale teraz tak. Był zły, zaniepokojony, rozdrażniony.

Nie powinien się denerwować. Do licha, troska o kogoś, opieka nad drugim człowiekiem - to było dokładnie to, czego postanowił za wszelką cenę uniknąć!

Chciał wrócić do domu i uporządkować swoje sprawy. Chciał sprawdzić, czy wszystko toczy się właściwym torem. Musiał wiedzieć, że Mariah ma opiekę... Dopiero wtedy będzie w porządku. Uspokoi się i wyciszy.

Po zakończeniu misji w Wenezueli szef chciał go wysłać na Morze Północne. Po raz pierwszy w swej karierze odmówił.

Wrócił do domu.

Wrócił wczesnym rankiem. Leciał przez całą noc i był śmiertelnie zmęczony. Jak zwykle marzył o prysznicu, zimnym piwie i przynajmniej dziesięciu godzinach snu.

Ale tym razem najpierw poszedł zobaczyć się z Mariah.

Gdy otworzyła mu drzwi, dojrzał na jej twarzy ogromne zaskoczenie.

On też był zaskoczony. Bardzo się zmieniła podczas jego nieobecności. Wyglądała tak, jakby pod koszulką miała piłkę plażową, a z reszty ciała pozostały jedynie skóra i kości.

- O Boże, czy ty w ogóle coś jesz? - zapytał.

- Oczywiście, ja... Co ty wyprawiasz? Dokąd idziesz? -
Chwyliła go za ramię, gdy szedł przez salon prosto do kuchni.

- Już nie masz mdłości, prawda? - spytał, otwierając lodówkę; były tam jaja, sery, papryka i jogurt. Jedzenie dla królika, pomyślał z obrzydzeniem.

- Nie mam - odrzekła.

- To świetnie. Idę po steki. - Skierował się z powrotem do drzwi.

- Rhys! - Podeszła szybko do niego. - Jest wpół do dziesiątej rano. Co ty wyprawiasz? Nie możesz wdzierać się w ten sposób do...

Spojrzał na nią przez ramię.

- Nic mnie nie obchodzi, która jest godzina - powiedział spokojnie. - Zaraz wracam. Masz kartofle?

- Nie, ja...

- Wobec tego kupię.

Godzinę później wrócił z zakupami. Gdy zapukał, długo nie otwierała. Zaczął się obawiać, czy w ogóle go wpuści. Gdy prawie stracił nadzieję, w końcu otworzyła drzwi.

- To nie jest konieczne... - protestowała, gdy z torbą w ręce maszerował do kuchni.

- Moim zdaniem jest. - Znał jej kuchnię. Wyjął patelnię i garnek do gotowania kartofli.

- Nakryj stół, proszę - rzucił przez ramię.

- Już jadłam śniadanie.

- Ale ja nie jadłem. - Słowa te wypowiedział przez zaciśnięte zęby i spojrzał na nią lak, że zaczęła robić, o co ją prosił.

- Tyran! - Z hukiem postawiła talerze na blacie.

- Ktoś tu musi rządzić - odparował.

- Myślałam, że nic chcesz mieć ze mną... a raczej z nami nic wspólnego.

To prawda! Ale tego nie powiedział głośno. Obrął kartofle

i postawił garnek na płycie. Był całkowicie pochłonięty przygotowywaniem posiłku. Starał się nie patrzeć na Marian. Jawne, intensywne gapienie się na nią uważał teraz za zbyt intymne, zbyt osobiste.

Kochał się z nią, a teraz nie mógł patrzeć na jej ciało, na zmiany, które były skutkiem tamtej nocy! Nawet myśl o tym go złościła. Zajął się smażeniem steków.

Mariah skończyła nakrywać do stołu i stała nieruchomo, lekko oparta o ścianę. Czuł na plecach jej spojrzenie. Chciał się odwrócić i popatrzeć na nią, uśmiechnąć się. Chciał, by wróciły dawne dni...

Ale to już nie było możliwe.

Cóż, teraz musi się nią zająć. Przynajmniej tymczasowo. Dopilnuje, żeby się dobrze odżywiała. Aby donosiła szczęśliwie ciążę. A potem...

Nie chciał wybiegać myślą w przyszłość.

Nie mogła go rozgryźć. Nie potrafiła zrozumieć. Zrzędził, zachowywał się apodyktycznie i chciał wszystko kontrolować. A jednocześnie dawał stale do zrozumienia, że wcale nie powinien tu być.

- Wracaj do domu - powiedziała chyba po raz dziesiąty tego poranka. Przyszedł brudny, nic ogolony, potargany, miał sińce pod oczami.

Nie usłuchał. Nie odpowiedział. Nawet się nie uśmiechnął. I co najgorsze, nadal tu był! Wydawało mu się zapewne, że bez niego nie da sobie rady.

- Nie potrzebuję cię - oświadczyła twardo trzeciego dnia, gdy pojawił się dokładnie o szóstej, by przygotować kolację.

- Owszem, potrzebujesz kogoś! - powiedział stanowczym tonem, kierując się do kuchni. - A gdzie podziewa się ten... jak mu tam... Kevin! - Wypluł to słowo jak przekleństwo.

- W tym tygodni jest w Cincinnati.

Dziewczyna Kevina ponoć zmieniła zdanie. Przynajmniej Kevin żywił taką nadzieję. Wziął więc tydzień urlopu i pojechał do domu, aby sprawdzić, jak się rzeczy mają.

- Typowe! - parsknął Rhys. - Rzucił cię, prawda? Dwoje dzieci to dla niego za dużo, prawda?

- Nie dyskutowaliśmy na ten temat - powiedziała całkiem szczerze.

- A powinniście!

- Niby dlaczego? Żebyś ty miał problem z głową?

Otworzył usta, a potem je zamknął.

- Nie możesz teraz być sama - powiedział cicho.

Pani Alvarez uśmiechała się do niego. Często. Zbyt często. Właściwie za każdym razem, gdy widziała go wchodzącego po schodach na górę do mieszkania Mariah. A gdy widziała ich razem, uśmiechała się jeszcze szerzej. I pokazywała Mariah uniesiony do góry kciuk.

Mariah nie reagowała. Wydawało się, jakby w ogóle nie była zachwycona faktem, że Rhys wypruwa sobie żyły, aby jej pomóc! Zachowywała się tak, jakby jej się narzucał. Ciągłe powtarzała mu, że nie musi się fatygować. Jakby chciała się go pozbyć!

Do licha, niczego bardziej nie pragnął, jak zmyć się stąd. Wyjechać. Gdy tylko ten drugi facet się pokaże...

Pewnego popołudnia, gdy zadzwonił do niej, by zaprosić ją na kolację, jakiś mężczyzna odebrał telefon.

- Kto mówi? - spytał.

- A kto pyta, do diabła? - odparował Rhys.

Nastała cisza. Potem nieznajomy powiedział:

- Tu Kevin Maguire. A pan...?

Cisza zapadła na dłużej.

- Rhys Wolfe - warknął. - Proszę powiedzieć Mariah, że o wpół do siódmej zabieram ją na kolację.

- Och, to nie będzie konieczne - odparł aroganckim tonem Kevin Maguire. - Dzisiaj Mariah wychodzi ze mną.

- Wychodzi? - Rhys wpadł mu w słowo. Usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki.

Jak śmiała! Miała zjeść kolację z nim! Od jego powrotu z Alaski zawsze jadali wspólnie kolacje... Oczywiście, powiedziała mu, że Kevin wyjechał tylko na tydzień. Ale to przecież nie oznaczało...

Najwyraźniej oznaczało.

- Dobrze - burknął pod nosem. - Niech ją sobie zabiera! Zobaczmy, czy zechce ją naprawdę! - Na twarzy Rhysa odmalował się wyraz ponurej satysfakcji.

Nie zadzwonił do niej tego wieczoru. Z okna obserwował, jak wychodzi z Kevinem. Kevin trzymał ją pod ramię.

Rhys patrzył za nimi ze złością. Mariah szła lekko kołyszącym się krokiem, jakby miała kłopoty z utrzymaniem równowagi, jakby nosiła ciężar ponad jej siły.

Ciężar... Dzieci... Jego dzieci.

Dłonie, które trzymał w kieszeni dzinsów, zacisnął w pięści. Nie chciał o tym myśleć.

Czekał, aż do niego zadzwoni po powrocie. Ale nie zadzwoniła. Słyszał, jak wróciła prawie o północy i ze złości zaciskał zęby. Nie położył się spać jeszcze przez dobrą godzinę, ale Mariah nie zadzwoniła.

Może chciała poczekać do rana? Ale rano również nie zadzwoniła.

Wreszcie przemógł się i sam zadzwonił.

- Co ci powiedział? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Nie rozumiem...

- Nie udawaj, Mariah. Co ten twój Kocha powiedział na... na bliźnięta?

- Uważa, że dwoje za jednym zamachem to naprawdę wspaniały pomysł.

Rhys z wściekłością zmrużył oczy. Zacisnął palce na słuchawce.

- Nie wystraszył się?
- A miałeś taką nadzieję?
- Nie! - warknął.

Długa cisza.

- W takim razie, jak sądzę, prawdziwy z ciebie szczęściarz - skomentowała Mariah.

Rhys znów usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

- Będę przychodzić tak często, jak zechcesz - powiedział Kevin. Siedział przy kuchennym stole Mariah, z głową wspartą na łokciach. - Czy mogę zrobić dla ciebie coś więcej?

Jego dziewczyna nadal się wahała. Potrzebowała jeszcze trochę czasu.

Mariah poklepała go po ramieniu.

- Nie martw się. Ona do tego dojrzeje.

To było banalne stwierdzenie i Kevin na pewno zdawał sobie z tego sprawę. W końcu, trudno uznać Mariah za eksperta w sprawach sercowych. Rhys na pewno nie dojrzał...

- Nie zamierzałam cię wykorzystywać - dodała po chwili.
- Dobrze mieć towarzysza niedoli - rzekł z przekonaniem.

Byli chyba najbardziej nieszczęśliwą parą w Nowym Jorku. Nieszczęśliwie zakochani. Razem spędzali prawie każdy wieczór. Mariah nauczyła się teraz pisać w biurze. W domu wolała bywać jak najrzadziej. Dostawała tu klaustrofobii, a przede wszystkim nie chciała być w pobliżu Rhysa.

Z jednej strony pragnęła go, z drugiej szczerze nie znosiła. Prawdziwe rozdwojenie jaźni. W dodatku sierpniowe upały dawały jej się bardzo we znaki. Gorące i bardzo wilgotne powie-

trze dusiło niczym koc. W taką pogodę nawet psy niechętnie wychodziły na spacer.

Tego dnia, gdy Marian umówiona była z Mooneyem Vaughanem w Carnegie Hall, temperatura osiągnęła czterdzieści stopni. Gdy po południu wyszła z domu, od razu pożałowała swojej decyzji.

Vaughan, jeden z najlepszych trębaczy jazzowych w Ameryce, zaproponował inny termin wywiadu, ale Marian upierała się przy swoim, zwłaszcza że dziś Kevin nie mógł się z nią spotkać. Nie chciała siedzieć w domu, bo wtedy na pewno nie udałoby się jej uniknąć spotkania z Rhysem.

Wszystko poszło gładko, lunch i rozmowa, aż do chwili gdy późnym popołudniem wracała do domu. Był okropny korek, a w autobusie popsukała się klimatyzacja. Mariah wysiadła i poszła piechotą. Szła i szła... Bezskutecznie próbowała złapać taksówkę. Gdy dotarła do domu, była ledwie żywa. Wyczerpana, przysiadła na ganku.

- Witaj! - Skrzywnęła ozdobna furtka i jak spod ziemi wyłonił się Rhys. Był uśmiechnięty, wypoczęty, jak przystało na człowieka, który cały dzień spędził w klimatyzowanym pomieszczeniu. -

Odwróciła od niego wzrok i przymknęła oczy. Nie miała ochoty na rozmowę.

- Dobrze się czujesz? - Rhys patrzył na nią z uwagą.

Z zamkniętymi oczami siedziała nieruchomo na schodkach. Dopiero gdy poczuła dotyk jego chłodnej ręki na policzku, wystraszyła się i uniosła powieki.

- Co robisz...?

- Chodź! - Pociągnął ją w dół do swojego mieszkania.

- Rhys! - zaprotestowała.

Ale gdy otworzył drzwi i owionęło ją chłodne powietrze klimatyzowanego pomieszczenia, przestała się opierać. Zostanie tylko chwilę. Minutę. Tylko złapie oddech. A potem...

- Usiądź. - Posadził ją na sofie, uniósł jej nogi i ułożył je na niskim stoliku. Ciężką torbę, w której miała magnetofon i notesy, położył obok na podłodze. - Chcesz wody? Mrożonej herbaty? Może soku?

- Wody, poproszę... - Głos jej zabrzmiał tak, jakby umierając z pragnienia, doczołgała się wreszcie do oazy.

Pół minuty później Rhys pojawił się ze szklanką wody, w której pływały kostki lodu.

Mariah wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć.

Dobrze, że stał przy oknie i w porę ją zauważył, gdy wracała do domu. Twarz miała purpurową i nie szła swym zwykłym energicznym krokiem. Na jej widok natychmiast jak szalony wyskoczył z mieszkania.

- Nie zakrzęś się - powiedział teraz.

- Zachowujesz się jak despota - powiedziała. - Nie musisz być aż tak apodyktyczny.

- W porządku. - Rozłożył pojednawczo dłonie. - Wiem, że świetnie sobie radzisz. Ale w całym mieście ludzie padają jak muchy z powodu upału. Słuchałaś radia? Tylko dziś po południu zanotowano ponad dwieście pięćdziesiąt przypadków porażenia słonecznego! A właściwie dwieście pięćdziesiąt jeden, sądząc z twojego wyglądu.

- Nie mam porażenia słonecznego - zaprotestowała. Skończyła pić wodę i z żalem popatrzyła na pustą szklankę.

- Przyniosę ci jeszcze. Siedź tu i nie ruszaj się - rozkazał.

Następną szklankę wody wypijała mniej łapczywie. Gdy skończyła, podniosła wzrok i uśmiechnęła się blado. Była to słabiutka imitacja prawdziwego uśmiechu Mariah Kelly.

- Dziękuję - powiedziała. Zaczęła wstawać.

- Nie musisz wychodzić. - Zablokował jej drogę.

- Ale ja...

- Czyżby czekał na ciebie twój przystojniak?

- Masz na myśli Kevina? - Zachowała zimną krew i wzruszyła ramionami. - Przyjdzie później - wyjaśniła. Nie zamierzała mówić Rhysowi, że czekają samotny wieczór. - Nie chcę ci robić kłopotu.

- Zrobisz kłopot, jeśli zemdlejesz na schodach.

- Nie zemdleję.

- Ugotowałem dziś dużo chili - zaproponował nieoczekiwanie. - Zjedz ze mną.

- Ale Kevin...

- Na razie go przecież nie ma. A ty na pewno jesteś głodna. Musisz się dobrze odżywiać, Mariah.

Nadal się wahała. Nie chciała po raz kolejny rozbudzać w sobie złudnych nadziei. A jednak za każdym razem, gdy Rhys był dla niej miły, nie mogła się powstrzymać i marzenia, które, jak sądziła, dawno umarły, odradzały się jak Feniks z popiołów i dręczyły jej duszę.

- Chili... - kusił uwodzicielskim głosem. - Sałata, pomidory z własnego ogródka...

Do licha! Przestań być taki miły! Nie cierpię, gdy jesteś...

- I czekoladowe lody na deser - dokończył triumfalnie.

O Boże, jak on znał jej słabości!

- Zgoda - powiedziała z westchnieniem. - Wygrałeś.

Obdarzył ją radosnym uśmiechem.

- Jedzenie będzie gotowe za kilka minut. Napijesz się jeszcze czegoś? Może piwa?

- Nie piję teraz alkoholu...

- W porządku. - Popatrzył dyskretnie na jej brzuch, ale szybko odwrócił wzrok, jakby nie mógł znieść tego widoku.

Mariah dostrzegła to spojrzenie. Na dnie jej oczu zabłysła złość.

- Przyniosę ci mrożoną herbatę - zdecydował za nią.

- Dziękuję - odparła uprzejmie. Zachowaj dystans! - po-

wtarzała sobie w duchu. Zachowaj obojętność! Złożyła ręce na kolanach i uśmiechnęła się słabo.

- Wyglądasz, jakbyś siedziała w poczekalni u dentysty - skomentował.

- Co?

- Nic. - Skrzywił się z niezadowoleniem. - Siedź tutaj. Pójdę po herbatę.

Miotał się po kuchni, niemal upuścił szklanke, a mieszając chili kłął pod nosem. Zachowywała się wobec niego jak całkiem obca osoba! A chciał czegoś innego...? Czego właściwie chciał?

Do licha, wszystko jedno. Dziś była jego gościem.

Nalał do szklanki mrożonej herbaty z termosu, potem wyjął z lodówki butelkę piwa dla siebie. Zerwał kapsel i pociągnął długi łyk. Bardzo długi łyk. Znów zamieszał chili. Czyżby ugotował tak dużo, ponieważ podświadomie zamierzał zaprosić ją na obiad?

Wolał nie odpowiadać na to pytanie.

Wypił następny łyk piwa. Może powinien nalać sobie coś mocniejszego?

- Z cytryną i bez cukru, prawda? - spytał przez drzwi.

Nie uzyskał odpowiedzi. Zresztą nie była mu potrzebna. Wiedział, jaką Mariah pije herbatę. Pytał tylko dla podtrzymania rozmowy. Uprzejmej rozmowy. Rozmowy, jakiej obydwójce pragnęli od dawna.

Gdy wszedł ze szklanką do pokoju, Mariah spała.

Przyglądał się jej zaskoczony. Nadal siedziała na sofie, ale tym razem z głową wygodnie ułożoną na oparciu i zamkniętymi oczami; rękami obejmowała wyraźnie już wypukły brzuch.

Uśmiechnął się ciepło. Nie mógł się powstrzymać. Podszedł bliżej. We śnie Mariah wyglądała jak dziecko. Jakby miała trzynaście lat... Właściwie, ile ona miała lat? Wyglądała tak młodo, tak bezbrinnie...

Nie sprawiała wrażenia osoby, która mogłaby zostać matką bliźniąt!

Bliźniąt!

- O Boże! - wyrwało mu się głośno.

Mariah otworzyła oczy i raptownie zamruwała powiekami.

- Och! - Usiadła prosto, znów złożyła dłonie na kolanach.

- Przepraszam... ja... To z powodu upału. Jestem trochę zmęczona. .. - Urwała, lekko zmieszana.

- Oto herbata. - Podał jej szklanekę, a potem usiadł naprzeciwko - Dlaczego dzisiaj wychodziłaś? Robiłaś wywiad?

- Tak. - Wypiła mały łyk i wyprostowała plecy. - Z Mooneyem Vaughanem.

- No, no! - rzekł z podziwem. Znał tego wybitnego muzyka. W zeszłym roku byli z Mariah na jego koncercie w Carnegie Hall. A później, Rhys dobrze to pamiętał, znów wjechali na Empire State Building. Muzyka grała im jeszcze w uszach, a niebo skrzyło się gwiazdami...

- Czy zagrał coś dla ciebie? - Rhys wrócił do rzeczywistości.

- Zagrał - odparła z uśmiechem. - To było cudowne... On jest taki, jak jego muzyka. Taka sama energia, szczerość i entuzjazm. Miał ciężkie przejście... Wiem, że stracił w wypadku żonę i syna... Pewnie słyszałeś też o narkotykach... Cóż, ma złamane serce. Ale jednocześnie ileż w nim siły ducha. Trudno to wyrazić słowami... Opowiadał mi o wszystkim. Czułam w nim ból, ale jednocześnie wiele nadziei...

Gdy mówiła, oczy jej przybrały łagodny wyraz, a na twarzy pojawił się znajomy, wyrozumiały uśmiech. Rhys dobrze znał ten uśmiech. Przez ostatnie trzy lata uspokajał go i pocieszał...

Mariah Wybuchnęła śmiechem. Był to szczery, radosny śmiech. Zaskoczony Rhys podniósł wzrok.

- Co się stało?

Lekko zmieszana, spojrzała w dół i delikatnie przycisnęła rękę do brzucha.

- Mooney pocałował... mój brzuch - wyjaśniła. - Wciąż uśmiechając się, patrzyła na jego oniemiałą ze zdumienia twarz. - Zrobił to na szczęście - dodała. - Powiedział, że zawsze lubił towarzystwo przyszłych matek, bo to pomagało mu uwierzyć w potęgę wciąż odradzającego się życia... A potem zagrał nam piosenkę. - Odstawiła szklanekę na stół i zaczęła się podnosić. - Chyba nie powinnam ci o tym mówić...

Rhys wstał również i zablokował jej drogę.

- Owszem, powinnaś - rzekł stanowczo. Ich spojrzenia spotkały się. - Proszę cię, Mariah, zostań.

Została.

To było głupie. To był błąd. Wiedziała, że znów zapragnie tego, czego nie może mieć.

Ale jak zwykle była wobec niego bezbronna, gdy patrzył na nią tymi niezgłębionymi, niebieskimi oczami i prosił, by coś dla niego zrobiła.

Została i zjadła z nim posiłek.

Rhys nastawił płytę Mooneya Vaughana. Ta muzyka dobrze oddawała nastrój Mariah - w jednej chwili radosny, w drugiej pełen zadumy. Wieczne wzloty i upadki.

„Przeżyłem wszystko, co tylko można przeżyć” - wyznał jej tego dnia Mooney swym niskim, czułym, przypominającym surowy jedwab głosem.

Dziś wieczór Mariah przeżywała całą gamę uczuć. Nie potrafiła zachować dystansu ani obojętności, a przecież lak bardzo się starała. Wątpiła zresztą, czy kiedykolwiek uda jej się zachować obojętność w stosunku do Rhysa. Zbyt dobrze go znała. Zbyt mocno go kochała.

Przez ostatnie trzy miesiące usiłowała walczyć ze swymi

uczuciami. I wmawiała sobie, że czyni ogromne postępy. Ale to nie była prawda.

Widziała wyraźnie, że Rhys nie ma takich problemów. Nadal był sobą: niefrasobliwy, zabawny, serdeczny i bardzo przyjacielski. Przynajmniej tak długo, dopóki udawało mu się zapomnieć o najważniejszym - o tym, że naprawdę wszystko się zmieniło, że nigdy już nie będzie tak samo.

Za każdym razem, gdy zerkał na jej brzuch, urywał w pół zdania. Ton jego głosu i wyraz oczu ulegały zmianie. Jakby się czegoś bał!

Wiedziała, że właśnie wtedy myślał nic tylko o niej i dzieciach, ale również o przeszłości. Wciąż nie potrafił otrząsnąć się z żalu i bólu po utracie Sarah, nie wierzył, że mógłby rozpocząć nowe życie.

W takich chwilach Mariah miała ochotę się rozpłakać. Jednak instynkt samozachowawczy podpowiadał, by tego nie robić. Nie odzywała się albo mówiła coś dla odwrócenia uwagi.

Przeżyła jakoś ten wieczór. Podziękowała uprzejmie Rhysowi za gościnę i poszła do siebie.

Zaniósł za nią torbę na górę.

- Dbaj o siebie, Mariah - powiedział.

- Dziękuję, Rhys. - A potem dodała beztrąsko: - Do zobaczenia. - Jakby znów byli dobrymi przyjaciółmi!

Może byli?

Ale gdy wreszcie znalazła się w łóżku, wybuchła niepohamowanym płaczem.

Następnego ranka jej nie zobaczył.

W gruncie rzeczy wcale jej nie szukał. Po prostu siedział przy oknie i rozwiązywał krzyżówkę z „Timesa”. Nic nie mógł na to poradzić, że miał widok akurat na schody. Zauważył panią Alvarcz, która czterokrotnie schodziła i wchodziła na górę. Za-

uważył państwa Gillespiesów, mieszkających nad Marian. Zauważył też ich sprzątaczkę i kuzynkę pani Alvarez.

Ale nie zobaczył Mariah.

Pewnie wyszła z Kevinem, pomyślał. Z wysiłkiem odsunął tę myśl, próbując wrócić do krzyżówki, lecz niespodziewanie wypisał mu się długopis.

- Do diabła! - zaklął i wstał.

Chodził po mieszkaniu i stale wyglądał do ogródka. Pomidory już dojrzały. Wczoraj zrobił z kilku sałatkę. Dziś zebrał następne dorodne sztuki.

W pewnej chwili dobiegł go szmer z tarasu Mariah. Wychylił się natychmiast. Mariah wieszała pranie. Sama. Bez Kevina.

- Cześć! - zawołał. - Przyniosę ci pomidory. - Nie czekając na odpowiedź, chwycił zebrane dziś pomidory i pomknął na górę.

Gdy otworzyła drzwi, podał jej torbę.

- Właściwie należą do ciebie - powiedział. - Gdybyś ich nie podlewała... - Uśmiechnął się słabo. - Można powiedzieć, że zawdzięczają ci życie.

- A teraz mam je zjeść? To nie wydaje się fair.

- Życie pomidora jest krótkie - zażartował, ale patrzył na nią poważnym, badawczym wzrokiem. - Wyglądasz dzisiaj nieco lepiej - zauważył. - Nie chcę, oczywiście, powiedzieć, że wczoraj wyglądałaś źle, ale...

- Wczoraj byłam wykończona - przyznała. - Dzięki za pomidory.

Nie zaprosiła go do środka. Zanosiło się na to, że zamknie mu drzwi przed nosem, gdy nagle wydała dziwny okrzyk zdumienia i gwałtownie przytknęła rękę do brzucha.

- Co się stało?

Mariah uśmiechnęła się czułym, słodkim uśmiechem.

- On... albo ona... kopie!

Rhys przeniósł wzrok prosto na jej wypukły brzuch, schowany teraz za torbą z pomidorami.

- Popatrz! - Odsunęła torbę i wygładziła bluzkę.

Patrzył. Przyglądał się zafascynowany brzuchowi, który zdawał się unosić i opadać we własnym niezależnym rytmie.

- Dziwne, prawda?

Zrobiło mu się sucho w ustach. Otworzył je, aby coś powiedzieć, ale nie potrafił nic z siebie wydusić. Dziwne? Tak, bardzo dziwne!

I okropnie bolesne. Opadły go nieznośne wspomnienia. Wspomnienia dnia, gdy Sarah po raz pierwszy poczuła ruchy dziecka. Chwyciła dłoń męża i przycisnęła ją do swego brzucha. „Czujesz? Czujesz to, Rhys?” Oczy miała wilgotne, lśniące i ożywione. Pragnęła dzielić z nim ten cud.

Przycisnął dłoń do jej brzucha i czekał. Ale dziecko ruszało się zbyt słabo, było jeszcze bardzo małe. Nie mógł nic wyczuć. Sarah pocałowała go wtedy na pocieszenie. „Wkrótce je zobaczysz” - obiecała.

Nie zobaczył go nigdy. Tydzień później Sarah nie żyła.

Odrzucił się gwałtownie od Mariah.

- Muszę już iść - powiedział szorstko.

Wspomnienia... Czaiły się zawsze tuż tuż, gotowe wychynąć z ukrycia i zniszczyć każdą radosną chwilę, którą mogłaby dzielić z Rhysem.

Mariah miała ochotę cisnąć tymi przekłętymi pomidorami. Chciała kopnąć drzwi... a właściwie - kopnąć Rhysa!

Ale nie mogła. Nie mogła być nawet na niego zła. Znała przecież i rozumiała jego ból.

Zbyt dobrze pamiętała ten wieczór, gdy opowiedział jej o Sarah i dziecku. Doskonale pamiętała jego głos pełen cierpienia. Widziała łązy cisnące mu się do oczu.

Czy mogła być zła na mężczyznę, który przeżył taką tragedię? Nie mogła.

Nie potrafiła jednak pozbyć się wrażenia, że Rhys powinien bardziej liczyć się z uczuciami innych.

Przecież to nie była jej wina, że stracił kobietę, którą kochał, i nie narodzone dziecko!

Albo czy to była wyłącznie jej wina, że znów miał zostać ojcem?

Może gdyby tamtej nocy nie zeszła na dół... Gdyby się z ram nie kochała...

Jedno z dzieci znów ją kopnęło. Poklepała się po brzuchu.

- Cieszę się, że tu jesteście - powiedziała impulsywnie. -
I kopcie mnie, gdy tylko macie ochotę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wrócił do pracy.

Następnego dnia zadzwonił do swego szefa.

- Nie jestem ci przypadkiem potrzebny? - spytał. I natychmiast został wysłany do Turcji. Wieczorem spakował torbę, a nazajutrz wyruszył bladym świtem. Nikomu nie powiedział ani słowa.

Dopiero po trzech dniach pobytu w Turcji zadzwonił do Dominika.

- Gdzie jesteś? W Turcji? - Dominik był zniecierpliwiony, jakby miejsce pobytu brata w ogóle go nie obchodziło. Przykrył dłonią słuchawkę i burknął do sekretarki: - Powiedz mu jasno, że nie! - A potem znów zwrócił się do Rhysa: - Ale po co mi to mówisz?

Właściwie dlaczego informował o tym Dominika? Nigdy przedtem tego nie robił.

- Pomyślałem po prostu... - zająknął się - że powinieneś wiedzieć. Na wypadek... na wypadek gdyby coś się stało ojcu.

- Gdybym go zabił?

- Jest aż tak źle? Co on teraz robi?

- Czuję na plecach jego oddech. Co tydzień ma dla mnie nową dziewczynę. Przyprawia je do biura. Stadami. Nie mogę spokojnie pracować. Muszę położyć temu kres i... chyba sam znaleźć sobie kobietę.

- Chcesz się ożenić?

- Niewykluczone - powiedział Dominik. - Znasz jakąś odpowiednią dziewczynę?

- Nie. - Rhys był zaszokowany.

- Na pewno znasz. Taki facet jak ty musi mieć dziewczynę w każdym porcie.

- Ale nie kandydatkę na żonę.

- A ta twoja sąsiadka?

- Mariah? - Rhys aż się zachłusnął.

- Tak. Jest niezła. Na pewno spodoba się ojcu. Nie miałbym nic przeciwko poślubieniu Mariah...

- Nie! - przerwał mu agresywnie Rhys.

Zaprotestował z taką siłą, że po drugiej stronie słuchawki zapadła kompletna cisza.

- Ach, to tak - skomentował wymownie Dominik.

- Nie, wcale nie tak, jak myślisz - zaprzeczył żywo Rhys.

- Chodzi tylko o to, że...

Nie mógł powiedzieć, że Mariah jest w ciąży. Dominik na pewno chciałby wówczas się dowiedzieć, kto jest szczęśliwym ojcem i" -zapewne w lot odgadłby prawdę. A potem doniósłby o tym ojcu, aby choć na chwilę odwrócić uwagę od własnej osoby.

- Chodzi tylko o to, że Mariah zasługuje na coś lepszego. Nie powinna wychodzić za mąż bez miłości.

- A ty nie jesteś zainteresowany?

- Ja jestem mężczyzną jednej kobiety.

Zapadła cisza. Potem Dominik powiedział:

- Sarah od dawna nie żyje. Na pewno nie żądałaby czegoś takiego od ciebie...

- Nie jestem zainteresowany - uciał Rhys. - Odczep się, dobrze?

- Tylko tak powiedziałem - usprawiedliwił się Dominik łagodnym tonem. - Nie obrażaj się.

. - W porządku. Zapomnij o Marian.

Rhys żałował, że w ogóle zadzwonił. A jednak chodziła mu po głowie natrętna myśl, że może powinien zasugerować Dominikowi, by skontaktował się z Mariah. Gdyby brat ją poślubił, dziecko pozostałoby w rodzinie.

Wzdrygnął się na tę myśl. Wcałe nie chciał, by jego brat zalecał się do Mariah.

Ale właściwie dlaczego? Tego nie potrafił zrozumieć...

Wyjechał.

W ciągu jednej nocy. Jednego dnia był, a następnego zniknął.

Z początku Mariah myślała, że Rhys robi wszystko, co w jego mocy, by jej unikać. Ale potem zauważyła, że nikt nie podlewa pomidorów...

A więc wyjechał. Bóg z nim, pomyślała. Rzuciła się w wir pracy zawodowej.

Skończyła artykuł o Mooneyu Vaughanie i powiadomiła Stellę, że chętnie podjęłaby się kolejnego zadania. Dwa dni później Stella zaproponowała wywiad z Simonem Hollingsworthem, jednym z najbardziej awangardowych architektów na Wschodnim Wybrzeżu.

Mariah wyjechała na cztery dni do Cape Code. Simon zaprosił ją do Martha's Vineyard, żeby zobaczyła nowy projekt, nad którym pracował, a potem do Newport, gdzie nadzorował liczne prace renowacyjne.

Zwiedzanie w towarzystwie Simona było pasjonującym zajęciem. Przez wiele wspaniałych godzin mogła nie myśleć o Rhysie.

Gdy wróciła do domu, zajęła się pisaniem. To było o wiele trudniejsze. Nie tylko z powodu Rhysa.

Męczyło ją siedzenie przy komputerze. Bolał ją kręgosłup, a dzieci ruszały się coraz zwawiej. Za każdym razem, gdy usiłowała się skupić, miały ochotę na zabawę.

By odpocząć i rozprostować kości, chodziła na długie spacery. Czasami towarzyszył jej Kevin. Rozmawiali o jego dzieciństwie, o artykułach, nad którymi pracowała. Rozmawiali o dzieciach. Ale nigdy nie poruszali tematu Rhysa.

Mariah starała się o nim w ogóle nie myśleć. Uważała, że jeżeli będzie miała myśli zaprzątnięte czymś innym, Rhys się w nich nie pojawi. Problem jednak polegał na tym, że kilka godzin w ciągu doby powinna przeznaczyć na sen, a od dawna miała kłopoty z zasypianiem. Między północą a piątą rano jej nie narodzone dzieci rozpychały się i kopały wyjątkowo energicznie. A nawet gdyby tego nie robiły i tak musiałyby wstawać do łazienki.

- Wyglądasz na wyczerpaną - powiedziała jej pewnego dnia Sierra, zauważając ciemne obwódki pod oczami siostry i jej znużony wyraz twarzy. - Jesteś jakaś blada i wychudzona.

- Wychudzona? - zachnęła się Mariah. - Jak mogę wyglądać na wychudzoną, gdy czuję się jak wieloryb!

- Ta wychudzona część to ty - wyjaśniła Sierra. - A wieloryb - to twoi lokatorzy. Szkoda, że Rhys nie może choć na chwilę ich ponosić.

Mariah nic odpowiedziała. Domyśliła się, że wzmianka o Rhysie miała służyć delikatnemu wysondowaniu, jak wygląda sytuacja.

- Miałaś jakieś wiadomości od ojca twoich dzieci? - dociekała nieustępliwie Sierra, widząc, że jej subtelne metody prowadzą donikąd.

- Pracuje - powiedziała lakonicznie Mariah.

- To świetnie. Ale czy do ciebie dzwonił? Czy wic, że źle się czujesz?

- O tym bym mu nie powiedziała!

- Rozumiem, nie dzwonił - rzekła domyślna Sierra. Baczniej przyjrzała się siostrze. - Może jednak powinnaś trochę odpocząć.

- Nie!

- **Dlaczego** nie? Potrzebujesz odpoczynku. Powinnaś zwolnić tempo...

- Muszę na siebie zarabiać - argumentowała Mariah.

- Ale Rhys...

- Rhys mi nie pomaga! Nigdy bym na to nie pozwoliła. A poza tym lubię swoją pracę. Ludzie czekają na moje artykuły.

- Kiedy Rhys wraca?

Mariah wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. I wcale mnie to nie obchodzi. Każde z nas ma swoje życie...

- Stuknijcie się lepiej w wasze puste głowy - pomstowała Sierra. - Sama nie wiem, które z was jest głupsze. Czy on, ponieważ nie chce się angażować, czy ty, która mu na to pozwalasz! A dzieci...

- Przestań się o nas martwić, Sierró - przerwała, jej Mariah.

- Zachowujesz się jak mama...

To porównanie było zawsze najlepszym argumentem, żeby zniechęcić siostrę do działania.

Teraz jednak Sierra odpowiedziała spokojnie:

- To fakt. Mama też się denerwuje. I ma absolutną rację.

Podczas akcji Rhys nie musiał myśleć. A kiedy, kończył, zazwyczaj był tak zmęczony, że miał jedynie ochotę wypić z kumplem piwo, a potem paść bez tchu na łóżko.

Pozostawały jednak sny...

Każdej nocy śniła mu się Sarah. Migawki z ich wspólnego życia: beztróskie dzieciństwo, radosne zaręczyny, szczęśliwy dzień ślubu. Były setki takich chwil, tysiące wspomnień, które powracały, gdy tylko przymknał oczy. Cierpiał z tęsknoty za tamtym życiem. Budził się smutny i zrozpaczony.

Ale jeszcze gorsze były sny o Mariah. Widział ją uśmiech

nięta i śmiejącą się w głos, jak patrzyła na niego, jak go czule dotykała. A on na to reagował. Reagował całym swym ciałem. gotów ją w każdej chwili przygarnąć do siebie. Unosił nawet ramiona, jakby chciał po nią sięgnąć.

Ale zaraz znów widział Sarah. Sarah, która wymykała mu się z rąk...

Wreszcie się budził. Zawsze sam.

Mariah naprawdę odczuwała zmęczenie. A nawet więcej niż zmęczenie. Była wykończona. U kresu sił. W tym tygodniu wspólnie z Sierra pomalowała pokój, w którym miały urzędować maleństwa. Kupiła łóżeczka i komodę. Uszyła zasłonki i zawiesiła je, co kosztowało ją wiele wysiłku. Leczą prawdziwą przyczyną jej wyczerpania było zdenerwowanie, ustawiczny niepokój, w jakim żyła, od czasu gdy dowiedziała się o swojej ciąży. Stres pozbawiał ją sił, doprowadzał do szaleństwa. Mimo dziarskiej miny, prezentowanej całemu światu, w głębi duszy dręczyła ją obawa, że sobie z tym wszystkim nie poradzi.

Czy da radę pracować po urodzeniu dzieci? Cóż, jeśli wszystko pójdzie dobrze, przekona się o tym już za sześć tygodni. Jednak myśl o zbliżającym się terminie rozwiązania napawała ją przerażeniem.

Na razie dzieci nie wymagały karmienia ani zmiany pieluch. Kopały ze wszystkich sił, ale nie płakały. Gdy się urodzą, będą krzyczeć, będą głodne, będą miały mokro... Oprócz normalnej pracy zawodowej trzeba będzie robić pranie, zakupy, gotować, sprzątać...

A co z wyjazdami? Czy będzie mogła pojechać do Newport, Martha's Vineyard czy gdziekolwiek z bliźniętami na rękę?

Jak da sobie radę, na Boga?

Oczywiście, Rhys zapewnił, że wesprze ją finansowo. Była mu za to w głębi duszy wdzięczna, ale przecież nie mogła

pozwolić, by jej pomagał, skoro nie chciał ani jej, ani dzieci! Będzie musiała sama na siebie zarobić.

Nie wiedziała, czy jej się to uda...

Na razie postanowiła przygotować kilka artykułów z wyprzedzeniem, niejako na zapas.

- Im więcej, tym lepiej. - Stella była zachwycona. - Mogę przetrzymać teksty i wydrukować je w najbliższych miesiącach. Pisz, ile możesz.

Mariah więc, mimo coraz gorszego samopoczucia fizycznego, pracowała bardzo intensywnie.

- Czasami myślę, że noszę w brzuchu drużynę futbolową - zażartowała pewnego dnia, gdy wpadł Kevin, by zaprosić ją na kolację.

Był niezwykle ciepły listopadowy dzień. Pogoda zachęcała do spaceru. Mariah spędziła przedpołudnie na tarasie. Najpierw oczyściła skrzynki z resztek przekwitłych roślin, a potem usiadła przy małym stoliku i próbowała dokończyć konspekt artykułu, do którego od dwóch dni zbierała materiał.

Dzieci tak bardzo ją kopały, że po pewnym czasie wyszła na krótki spacer, by je uspokoić. Ale to niewiele pomogło. Nadal czuła się źle.

- Może nie chcesz wychodzić na kolację? - spytał zaniepokojony Kevin.

- Mam ochotę się przewietrzyć - powiedziała.

Poszli do znajdującej się nieopodal przytulnej, włoskiej restauracji. Można tu było dobrze zjeść i odpocząć. Mariah starała się skupić na rozmowie z Kevinem, ale tak bardzo bolały ją plecy, że nie mogła znaleźć sobie odpowiedniej pozycji. Czuła w brzuchu dziwne ściskanie.

- Co ci jest? - zaniepokoił się Kevin.

- Och, nic... - Starała się zbagatelizować sprawę. - Tylko coś mnie ściska.

- Ściska? - Wyglądał na zdumionego.

- Tak to czuję. - Przeglądała menu. Gdy podszedł kelner, zamówili dania. Mariah znów poczuła ucisk w brzuchu. Poruszyła się niespokojnie na krześle. Nie było to najwygodniejsze krzesło na świecie...

- Dobrze się czujesz? - dopytywał się Kevin.

Skinęła głową, ale znów wykonała dziwny ruch. Jej mali kickbokserzy, jak czasem nazywała swoje dzieci, najwyraźniej nie byli zadowoleni.

Wyszła na chwilę do łazienki. Po drodze czuła coraz silniejsze skurcze.

Spędziła w łazience sporo czasu. Skurcze pojawiały się co trzy minuty. Regularnie.

Gdy wróciła do stolika, cała się trzęsała.

- Co się stało? - zapytał zdenerwowany Kevin.

- Chyba zaczynam rodzić.

- Nie wiem - powiedziała. Mariah. - Popatrzyła ze złością na siostrę. To samo oznajmiła wczoraj wieczorem, gdy Sierra spotkała się z nią i z Kevinem w szpitalu. - Nie wiem, gdzie jest

I nie wiem, jak się z nim skontaktować. - Wcale nie chcę się z nim kontaktować, pomyślała.

- Musimy go znaleźć - przekonywała Sierra. Stała nad łóżkiem Mariah, trzymała ręce na biodrach i ze złością patrzyła na siostrę.

Zgodnie z zaleceniami lekarza Mariah powinna myśleć wyłącznie o miłych, radosnych sprawach. Ale to się nie udawało, ponieważ Sierra bezlitośnie wracała do denerwującego tematu.

- Informowanie go o tym, nie zmieni sytuacji - oświadczyła Mariah stanowczym tonem. - A poza tym - odwróciła głowę do okna i westchnęła - on nie chce o niczym wiedzieć.

Nigdy nic opowiadała siostrze o żonie i dziecku Rhysa. Dał

jej do zrozumienia, że nie życzy sobie, by wszyscy wiedzieli o jego przeszłości. Nadszedł jednak czas na zwierzenia. Mariah była pewna, że Sierra nie popuści i będzie tak długo drażnić temat, dopóki nie usłyszy zadowolających wyjaśnień.

Dość pobieżnie, nie wdając się w szczegóły, opowiedziała siostrze o żonie Rhysa i tragicznym wypadku. O tym, jak stracił żonę i nie narodzone dziecko i nie potrafił ani sobie wybaczyć, ani zapomnieć.

- Rozumiesz teraz, dlaczego nie chce zaangażować się po raz drugi - zakończyła, uśmiechając się słabo do Sierry.

- Do licha z nim! To samolubny, egocentryczny łajdak! - Sierra miotała się po pokoju jak tygrys w klatce. - Uważasz, że skoro stracił żonę, ma prawo zachowywać się jak łajdak w stosunku do kobiety, która zaszła z nim w ciążę?!

- Nic nie rozumiesz, Sierry - zaczęła Mariah znużonym tonem.

Sierra burknęła coś pod nosem. Gdyby mogła, zaczęłaby pewnie coś demolować, pomyślała Mariah.

- Urodzisz bliźnięta! Omal nie urodziłaś ich przedwcześnie wczoraj w nocy! Ktoś musi się tobą opiekować. A ty w najlepsze troszczysz się o komfort psychiczny Rhysa!

- Ja się o niego nie troszczę! - zachnęła się Mariah. - Powiedziałam tylko, że go nie potrzebuję. Nie potrzebuję nikogo - dodała spokojniej, starając się udobruchać Sierrę.

Sierra nie uwierzyła w te zapewnienia.

- Pleciesz bzdury - oświadczyła twardo. - Musisz leżeć w łóżku i nabierać sił. Ktoś powinien się tobą zająć.

- Ale nie Rhys.

Sierra patrzyła na nią ze złością. Kolejny raz obeszła dookoła sypialnię.

- Posłuchaj - powiedziała pojednawczo Mariah, odnajdując w sobie resztki cierpliwości. - Sama nie sprawiasz wrażenia

osoby spokojnej i opanowanej. Czuję, że za chwilę wybuchniesz. Proszę cię, idź już i pozwól mi zasnąć.

Sierra zatrzymała się w pół kroku. Minę miała skruszoną.

- Przepraszam, ale... - urwała. - W porządku, już nic nie powiem. Odpocznij. Będę w pokoju obok.

- Nie musisz tu czuwać.

- Muszę. A jeśli chcesz się o to kłócić, lepiej już zaśnij.

Mariah dobrze wiedziała, co oznacza zawadiacko uniesiony podbródek siostry. Nie było sensu się spierać.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła, gdy Sierra całowała ją w czoło. Potem przymknęła powieki i modliła się, by te słowa okazały się prawdą.

Modliła się przez cały czas, odkąd wczorajszego wieczora zaczęły się skurcze i Kevin prosto z restauracji zabrał ją do szpitala.

Ze szpitala zatelefonowano do jej lekarza i ten natychmiast przyjechał.

- Czy ja... czy one... - Nie mogła nawet wypowiedzieć swych najgorszych obaw.

Lekarz popatrzył na nią spoza okularów.

- Moja droga - powiedział - musisz bardziej dbać o siebie.

- Zgoda - przytaknęła gorączkowo. - Ale... ale czy z nimi wszystko w porządku?

- Na razie tak, lecz trzeba opanować skurcze. Musisz zostać na noc w szpitalu. Upewnimy się przez ten czas, czy wszystko w porządku.

Dzięki Bogu, na szczęście nie doszło do najgorszego.

Przez całą noc leżała, nie zmrużywszy oka, bojąc się nawet poruszyć. A jednocześnie starała się osiągnąć to, co było prawie niemożliwe - usiłowała się odprężyć.

Kevin zadzwonił do Sierry i obydwójce siedzieli w szpitalu przez całą noc.

Regularne skurcze powoli ustąpiły. Rankiem były już bardzo **słabe, ledwie wyczuwalne.**

Lekarz prowadzący nie krył zadowolenia.

- Jest już dobrze - oznajmił z uśmiechem, a potem pogroził palcem. - Ale od tej pory musisz bardzo uważać.

- Będę - obiecała.

- Odpoczywaj w łóżku. Cały tydzień. A potem, jeśli wszystko będzie w porządku, możesz wstać. Tylko nie przemęczaj się!
- dodał surowo. - Twoja siostra mówiła, że ciężko pracujesz. Musisz przestać. Masz spać, jeść, leniuchować i tyć. Jeśli się zastosujesz do tych wskazówek, wszystko będzie dobrze.

- Z nami wszystkimi? - spytała cicho Mariah.

- Jeszcze miesiąc i dzieci będą bezpieczne - rzekł doktor, nie kryjąc optymizmu.

- Wolfe! Telefon! - Donośny głos wyrwał Rhysa z płytkiego snu.

Był środek nocy, gdzieś na świecie... W Singapurze? W Arabii Saudyjskiej? Na Tajwanie... ? Z trudem zebrał myśli Turcja! Tak. Był w Turcji.

Kto, u licha, może do niego dzwonić?

Mariah?!

Podерwał się z łóżka i pognał w kierunku drzwi. Dopadł do aparatu na korytarzu i krzyknął do słuchawki:

- Mariah?!

- Trafieś! - roześmiał się jego brat, Dominik.

Rhys mocniej ścisnął słuchawkę.

- Co się stało? Czy ona... ?

- Mariah czuje się dobrze. Już.

Rhys oddychał nierówno. Bezwładnie oparł się o ścianę.

- Ale co ty, u diabła... Skąd wiesz o Mariah?

- Ktoś mnie odwiedził.

- Mariah? - Rhys nie potrafił sobie tego wyobrazić.
 - Nie. Jej siostra. Nie powiedziałaś mi, że ona jest w ciąży - burknął. - A co ważniejsze, nie powiedziałaś mi, że wniosła istotny wkład w tę... jakby tu rzec... sytuację.
 - Powiedz mi wreszcie, co się stało? - spytał Rhys, wyraźnie już zirytowany.
 - Miała skurcze.
 - Co? Już? Co się stało? Czy dobrze się czuje?
 - Wszystko w porządku - powiedział Dominik uspokajającym tonem. - Dla bezpieczeństwa zatrzymali ją na noc w szpitalu. Teraz jest w domu i leży w łóżku. To było swego rodzaju ostrzeżenie, że tak powiem. Musi zwolnić tempo.
 - To oczywiste - mruknął Rhys. Czyż przez cały czas tego nie powtarzał?
 - Musi odpoczywać, spać, trzymać nogi w górze.
 - Oczywiście.
 - Ale ta wiedźma z fioletowymi włosami uważa, że ona tego nie będzie robić - dodał Dominik.
 - Rozmawiałaś z Sierrą u siebie w biurze?
 - To Sierra rozmawiała ze mną - poprawił go Dominik.
 - Pokonała moją sekretarkę, wdarła się do mojego biura, narkrzyczała na mnie, złapała mnie za krawat i powiedziała, że zaciśnie go mocno wokół pewnej części mego ciała, jeśli natychmiast się z tobą nie porozumiem, nie każe ci wrócić do domu, byś zajął się jej siostrą.
 - Taak... - Rhys nic krył podziwu dla energii i temperamentu Sierry. - Już ją widzę w tej scenie.
- Wyobrażenie sobie zwariowanej siostry Mariah, jak szturmuje twierdzą Wolfe Enterprises i przypiera do muru szefa firmy w jego własnym gabinecie, w innych okolicznościach ubawiłoby Rhysa do łez.

Ale teraz powiedział tylko:

- Już jadę.

- Ciesz się, że to słyszę... tatusiu - wycedził złośliwie Dominik.

Tatusiu!

Rhys wołał o tym nie myśleć. Właściwie nie myślał o niczym innym, tylko o powrocie do Mariah.

„To nie cierpiąca zwłoki sprawa rodzinna” - zakomunikował swemu szefowi, po czym wsiadł do pierwszego samolotu lecącego do Londynu, a stamtąd złapał błyskawiczne połączenie do Nowego Jorku.

Był w domu wcześniej, niż wyjechał z Londynu, przynajmniej według zegara. W rzeczywistości nawet nie wiedział, która jest w Nowym Jorku godzina, gdy następnego wieczora wysiadał z taksówki przed swoim domem. Rzucił tylko torbę na podłogę i poszedł na górę do Mariah.

Walenie do drzwi nic dało efektu. Poczuł, że ogarnia go panika. Może znów jest w szpitalu? Może rodzi...? Czy dzieci mają szansę, jeśli przyjdą na świat tak wcześnie? Czy Mariah przeżyje?!

Mocniej uderzył w drzwi.

- Do diabła - huknął. - Otwórz te cholerne drzwi!

Usłyszał dźwięk przekręcanego zamka i szcęk łańcucha. Drzwi się uchyliły. Spodziewał się zobaczyć Sierę. Ale to Mariah we własnej osobie wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Co ty...

Nie pozwolił jej dokończyć pytania. Otworzył drzwi na całą szerokość i wszedł do środka.

Mariah miała na sobie szerokie szorty i podkoszulek. Mimo że widział ją przecież całkiem niedawno, zauważył, że znów się zmieniła. A raczej jej brzuch się zmienił. Teraz był ogromny.

- Dlaczego wstałaś z łóżka? - spytał.
- Musiałam otworzyć drzwi - powiedziała, patrząc na niego z zaciekawieniem. - Walił w nie jakiś idiota.
- Myślałem, że jest z tobą Sierra.
- Sierra ma własne życie.
- Już ja jej pokażę własne życie! - pieklił się. - Co ona sobie myśli, zostawiając cię samą?
- Co ty pleciesz? - obruszyła się coraz bardziej zdumiona.
- Wracaj do łóżka - powiedział, wprost na nią napierając i zmuszając ją do powrotu do sypialni. - Miałaś leżeć w łóżku.
- I kto to mówi?
- Sierra. Lekarz. Mój brat...
- Twój brat? Dominik? - Mariah nie kryła zdziwienia. - Co twój brat ma z tym wspólnego?
- Dzwonił do mnie.
- Po co?
- Aby ocalić swą męskość, jak sędzę. Sierra zagroziła, że go jej pozbawi, jeśli nic uda mu się ściągnąć mnie natychmiast do Nowego Jorku.
- Zabiję ją!
- Nie zrobisz tego. To byłby za duży stres. Do diabła, Mariah, połóż się wreszcie! - Wziął ją za rękę i zaciągnął do sypialni.

Opierała się tylko przez sekundę.

- Zachowujesz się jak tyran - wymamrotała. - Nie wiem, co tu właściwie robisz. Dominik w żadnym razie nie powinien do ciebie dzwonić...
- Owszem, powinien. - Posadził ją na łóżku. - A teraz nogi do góry. - Pochylił się i, nim zdążyła zaprotestować, ułożył jej stopy na poduszce. Potem usiadł na łóżku, a po chwili... wyciągnął się obok niej jak długi.
- Rhys!

- Słucham? - Przygniół ją ramieniem, by pozostała w pozycji leżącej. Przymknął oczy.

- Co ty wyprawiasz? - spytała.

- Opiekuję się tobą - wymamrotał. Próbowwała odepchnąć jego ramię, ale było ciężkie i bezwładne.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki! .

- Słyszałem coś całkiem przeciwnego - powiedział niewyraźnie. Przekręcił się na bok i przytulił ją mocniej do siebie. Położył rękę na jej wyraziście wystającym brzuchu. Poczował kopnięcie.

- Co u licha...? - Raptownie podniósł głowę.

- Zbyt mocno je nacisnąłeś - wyjaśniła.

- Och! - Zwolnił uścisk, ale nie zdjął ręki. Czuł pod dłonią pulsowanie, ruch... Poruszały się... Dzieci. Jego dzieci.

Nie chciał o tym myśleć. Nie teraz.

Nie mógł teraz o niczym myśleć. Był tutaj. To wystarczyło.

- Zawsze się tak zachowują? - spytał.

- Czasami śpią.

- To dobrze. - Znow się przesunął, by lepiej dopasować swe ciało do jej brzucha. - Dzięki Bogu - mruknął niewyraźnie.

- Rhys!

Ale Rhys zamknął oczy i zasnął.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zasnął! Wdarł się do jej mieszkania, położył obok niej na łóżku i... zasnął!

Marian wysliznęła się z jego objęć i obserwowała go teraz z pewnego dystansu.

Wyglądał na wyczerpanego. Wykończonego. Miał cienie pod oczami i nawet we śnie na jego twarzy malowało się znużenie. Skąd właściwie przyjechał? - zaczęła się zastanawiać.

I co, na Boga, skłoniło go do powrotu?! Przecież nie chciał się angażować...

Sierra musiała narozrabiać. Już ona to potrafiła! Marian uśmiechnęła się pod nosem.

Marian poznała Dominika Wolfe'a. Nie był to, oczywiście, człowiek, który dałby się zastraszyć - nawet takiej czarownicy z fioletowymi włosami jak Sierra. Dominika Wolfe'a cechowało ogromne poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Pracował w rodzinnej firmie wspólnie z władczyim, apodyktycznym ojcem. Robił to dla dobra rodziny. Wiedziała również, że dawno temu Dominik nawet skłonny był się ożenić, by zadowolić ojca.

Nie znała jednak szczegółów tej sprawy. Rhys był bardzo powściągliwy, nigdy nie mówił o tym zbyt wiele.

Była pewna, że jej siostra nie poznała wcześniej Dominika. Właściwie mogła nawet nie wiedzieć o jego istnieniu. Jak widać, jednak się dowiedziała. Sierra, gdy raz coś postanowiła, działała bardzo konsekwentnie i potrafiła poruszyć niebo i ziemię dla osiągnięcia celu.

Mariah westchnęła. Powinna wiedzieć, że jej siostra nie podda się tak łatwo. Powinna ją przywiązać, choćby do krzesła...

Rhys mruknął przez sen i władczy ruchem przygarnął ją do siebie. Tak jakby tu przynależał. Jakby tu było jego miejsce...

Poczuła ucisk w gardle. Z trudnością przełknęła ślinę.

- Do licha... - wyszeptwała. - Do licha! Dlaczego wróciłeś? Czy mogła z nim walczyć, skoro w ogóle nie miała sił?

- Połóż się spać - mruknął Rhys.

Nie powinna. Ale nie mogła się powstrzymać.

Z westchnieniem położyła głowę na jego ramieniu i po chwili również usnęła.

Obudził go pierwszy promień słońca, który wpadł przez nie zasłonięte okno.

Rhys nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i dlaczego. Przekręcił się na bok i... poczuł obok siebie ciepłe ciało kobiety.

Zamrugnął powiekami i otworzył oczy. Wtedy sobie przypomniał. I przestraszył się.

Tą kobietą była Mariah. Był w jej łóżku!

Stały mu przed oczami wydarzenia ostatniego dnia. Telefon od Dominika. Telefon do szefa, wyścig na lotnisko, przejazdka w Londynie, nerwy, rozmyślenia, spekulacje... I w końcu powrót do domu.

Nigdy dotąd nie ucieszył go tak bardzo czyjś widok. Gdy zobaczył Mariah - całą i zdrową, a w dodatku nadal w ciąży - był w siódmym niebie.

Nie chciał się o nią martwić, ale to okazało się ponad jego siły. I nadal będzie się o nią troszczył, dopóki dzieci nie przyjdą bezpiecznie na świat. Mariah musi donosić ciążę, urodzić dzieci i wrócić do pełni sił.

Już on dopilnuje, by tak się stało. Dopiero wtedy będzie mógł odejść w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Teraz chodziło tylko o nią. O Mariah.

Uniósł się na łokciu, aby przyjrzeć się jej w jasnym świetle poranka. Pod oczami miała ciemne obwódki, a zazwyczaj zaróżowione policzki wyglądały blado. Żyła w stresie... Miała zbyt dużo pracy, zbyt wiele na głowie, sądząc z tego, co powiedział mu Dominik.

Tak, Rhys się tym zajmie. Zaopiekuje się nią. Spełni swój obowiązek, tak jak sobie obiecał. Dopilnuje, by wszystko przebiegło zgodnie z planem.

A potem odejdzie...

- Nie rozumiem, po co chcesz iść ze mną do lekarza - narzekała Mariah. Próbowwała założyć buty, co było wielkim wysiłkiem, ponieważ właściwie nie widziała własnych stóp. Rzuciła Rhysowi znaczące, a równocześnie wrogie spojrzenie.

Ale Rhys ani drgnął. Siedział na tym samym krześle, odkąd otworzyła oczy, i jak się zdawało, śledził wzrokiem każdy jej ruch. Zdesperowana, weszła do łazienki, by się ubrać. Ale i tu czuła się niezręcznie i nieswojo.

Och, do licha, dlaczego po prostu nie wyjdzie?!

- Chciałbym poznać jego opinię - powiedział Rhys rzeczowo. Zupełnie, jakby zainteresowanie się jej ciężą po upływie z górą siedmiu miesięcy było rzeczą naturalną i oczywistą.

Ale to nie było naturalne. Zresztą Mariah nic chciała, by się nią przejmował!

No, może nie do końca była to prawda... Oczywiście, pragnęła, by obchodził go los jej i dzieci, ale chciała, by zainteresowanie to wynikało z prawdziwego przywiązania i miłości.

Teraz jednak tkwił tu z zupełnie innego powodu. Bardzo dosadnie wyjaśnił jej przeciw swoje stanowisko. „Ponieważ ty mnie potrzebujesz” - powiedział. I żadne argumenty na świecie nie mogły wpłynąć na zmianę jego decyzji.

Resztki nadziei pokładała w lekarzu.

Jednak godzinę później okazało się, że na lekarza nie mogła liczyć. Wyglądało na to, że obaj z Rhyssem postanowili jeszcze bardziej skomplikować jej życie.

Doktor był zachwycony, że poznał Rhysa. „Nareszcie!” - zdawały się mówić jego oczy, gdy Rhys przedstawił się jako ojciec dzieci, zaniepokojony przebiegiem ciąży.

Najpierw zbadał Mariah. Podczas badania kiwał głową i mruzczał do siebie. Potem poprosił Rhysa i dokładnie wszystko mu wytłumaczył.

- Mariah potrzebuje wypoczynku - zwrócił się bezpośrednio do Rhysa, tak jakby Mariah w cudowny sposób wyparowała z gabinetu. - Nie może wchodzić po schodach ani dźwigać. Żadnego wspinania się po drabinie czy noszenia zakupów. Musi leżeć bądź siedzieć, trzymać nogi w górze i mieć całodobową opiekę.

- To niestety niemożliwe - zaprotestowała, ale to na niewiele się zdało.

- Potrzebuje czułej, troskliwej opieki - ciągnął lekarz nieustępliwie. - A jeśli jej nie będzie miała, dzieci urodzą się za wcześnie, co może być niebezpieczne.

- Zadbam o to - obiecał Rhys. - Mój brat ma dom na Long Island, godzinę drogi stąd. Możemy tam czasowo zamieszkać.

- Wykluczone! - sprzeciwiła się natychmiast Mariah.

- To parterowy dom, stoi na plaży, dziesięć minut od miejscowego szpitala. Oczywiście, szpital to ostateczność, do której, mam nadzieję, nie dojdzie.

~ To świetnie się składa - ucieszył się doktor.

- Będzie cały czas odpoczywać - ciągnął Rhys z przekonaniem. - I nie pozwolę jej na żadne głupstwa!

Mariah patrzyła na niego z nie ukrywaną złością.

- Najgłupsza rzecz, jaką zrobiłam... - zaczęła.

- Dziękuję panu, doktorze. - Rhys zagłuszył jej dalsze słowa. - Miło mi było pana poznać.

Uścisnęli sobie dłonie jak starzy przyjaciele.

- Za dwa tygodnie chcę ją znów zobaczyć - powiedział doktor i wyszedł.

- Nie zamierzam wyjeżdżać do domu twego brata - oświadczyła Mariah ostrym tonem, gdy przechodzili przez korytarz.

Począł z odpowiedzią, aż znaleźli się na ulicy.

- Owszem, pojedziesz.

Nie pojedzie. Jednak nie miała zamiaru kłócić się o to teraz. W milczeniu wracali do domu. Mariah trzymała ręce skrzyżowane na brzuchu; czuła, jak dzieci znów się rozpychają.

Miała nadzieję, że Rhys tego nie zauważy. Zerkała na niego z ukosa, ale nie mogła zobaczyć jego oczu, ukrytych za słonecznymi okularami.

Nie odezwał się do niej przez całą drogę do domu. Gdy płacił kierowcy taksówki, Mariah poszła prosto na górę. Ale zaledwie otworzyła drzwi, Rhys był już przy niej. Wziął ją za ramię.

- Nie słyszałaś, czego nie wolno ci robić? - spytał. I zaraz dodał: - Nie wolno ci wchodzić po schodach.

- Tak się składa, że mieszkam na piętrze.

- Już nie!

- Słucham? - Patrzyła na niego oszołomiona.

- Żadnych schodów! Tak powiedział doktor. Właśnie dlatego przenosimy się do domu nad morze.

- Nigdzie nie wyjeżdżam.

- Myślałem, że zależy ci na dzieciach. - Zdjął okulary i spojrzał jej prosto w twarz.

Zmarszczyła brwi i cofnęła się o krok. W obronnym geście położyła ręce na brzuchu.

- Oczywiście, że mi zależy!

— Więc przestań się wreszcie upierać. Nie możesz żyć tak jak przedtem.

- Ale to jeszcze nie oznacza, że muszę wprowadzić się do domu twojego brata - odparowała. - Możemy zamieszkać w hotelu.

- Nie możemy! - Zamieszkanie w hotelu było zupełnie idiotycznym pomysłem.

- Chloe...

- Chloe i Gib mają własne dzieci i nie będą brać odpowiedzialności za ciebie.

- Sierra...

Rhys patrzył na nią kamiennym wzrokiem. Obydwoje wiedzieli, że wspinaczki do znajdującego się na drugim piętrze mieszkania Sierry nie wchodziły w grę.

- Nie jesteś za mnie odpowiedzialny - oznajmiła w końcu. Spojrzał jej w oczy, potem opuścił wzrok na jej brzuch.

- Ale za nie jestem - powiedział: - To ja cię w to wpędziłem, Mariah. I zamierzam dopilnować, byś przez to przeszła.

Przez to przeszła... Jakby był to rodzaj testu wytrzymałościowego! Albo choroba, która minie. Tak to widział.

Uniósł palcem jej brodę do góry, tak by mogli patrzeć sobie prosto w oczy.

- Zrób to dla dzieci, Mariah - poprosił błagalnym tonem.

Odetchnęła głęboko, po czym powiedziała.

- Zgoda.

Zadzwoił do Dominika i powiedział, że będzie potrzebować jego domu. Był to dom, gdzie dorastali. Ojciec odstąpił go Dominikowi, gdy sam przeszedł na emeryturę - jak się potem okazało pozorną - i kupił sobie dom na Florydzie. A ponieważ Douglas Wolfe spędzał w mieście mnóstwo czasu, nawet więcej niż wówczas, gdy był oficjalnym szefem Wolfe Enterprises, wynajmował dorywczo niewielkie mieszkanie w Sutton Place.

- Oczywiście. - Dominik zgodził się od razu. - Czy... czy Mariah dobrze się czuje?

- W porządku - odparł zwięźle Rhys. - Potrzebuje jedynie odpoczynku. Będzie miała bliźnięta.

- Ojciec...

- Jego z tego wyłącz. Nie mów mu ani słowa.

- Czyżbyś zamierzał... zostawić ich swemu losowi?

- Tak uważasz?

- Skoro nie chcesz powiadomić ojca...

- Kiedyś mu powiem. - Gdy uzyskam pewność, że nie będzie mnie zmuszać do małżeństwa, pomyślał. Znał swego ojca i wiedział, że starszy pan właśnie to próbowałby zrobić. A Rhys nie chciał żadnego ślubu, żadnych więzów.

- W porządku - zgodził się szybko Dominik. Ale w jego głosie dźwięczała nuta dezaprobaty.

Rhys wcale się tym nie przejął. Miał inne sprawy na głowie.

Zmusił Mariah, aby zeszła do jego mieszkania i tam odpoczywała. - . -

- Sam cię spakuję - oświadczył.

Z początku protestowała, ale w końcu wzruszyła ramionami. To go ucieszyło, oznaczało bowiem, że nareszcie zrozumiała i uległa słusznym perswazjom.

Gdy upewnił się, że posłusznie zasiadła przed telewizorem z książką w ręce, poszedł na górę do jej mieszkania.

Czuł się tu dziwnie. Samotnie. W sypialni otworzył szuflady komody, a potem szafę. Wyjął największe podkoszulki, spodnie na gumkę, wziął szlafrok i przybory toaletowe. Rozejrzał się w poszukiwaniu zimowej kurtki i płaszcza. Był już listopad, a nad morzem szalały porywiste wiatry.

Długi wełniany płaszcz i pikowana kurtka wisiły w szafie obok sukienki, którą tak dobrze pamiętał. Była to głęboko wycięta z przodu jedwabna suknia w kolorze ognistej czerwieni,

którą w ubiegłym roku miała na sobie na przyjęciu świątecznym u Finna i Izzy.

Wyjął suknię z szafy. Była tak wąska i obcisła, że zaczął się zastanawiać, czy Marian jeszcze kiedykolwiek ją włoży. To z powodu dzieci, a pośrednio z jego powodu straciła figurę... A przecież nie czuła do niego nienawiści...

Nie lubiła go zbyt, to fakt. Była dla niego przykra i kąśliwa, gdy wrócił do domu. No cóż, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowała...

Tak, będzie musiał to naprawić. Przede wszystkim zaopiekuje się nią, tak jak zalecił lekarz. Zrobi wszystko, by dzieci przyszły na świat we właściwym czasie.

A potem?

Nie chciał teraz myśleć o przyszłości.

Mariah nie była przyzwyczajona do tego, by ją rozpieszczano. Nie była też przyzwyczajona, by ktoś jej usługiwał, wszystko za nią robił, przynosił wieczorem gorące mleko, a rano śniadanie do łóżka.

Teraz właśnie tak żyła.

Dom, do którego Rhys ją zawiózł, znajdował się na południowym brzegu Long Island. Stał na trawiastym pagórku z widokiem na plażę i ocean. Był to wygodny, parterowy, drewniany budynek z podwójnymi drzwiami, które otwierały się na wyłożony piaskowcem taras, prowadzący na plażę. Pokoje były wygodne i gustownie urządzone.

Gdy dowiedziała się, że był to rodzinny dom Rhysa, zaczęła uważniej mu się przyglądać, choć powtarzała sobie, że nie powinna... Rhys nie chciał się z nią przecież wiązać na stałe. Zajął się nią tylko dlatego, że poczuwał się do odpowiedzialności.

Nie mogła jednak nie doceniać tych wszystkich zabiegów, które wokół niej wykonywał. Ulokował ją w największej sypial-

ni, należącej do Dominika, a dawniej będącej sypialnią ich rodziców. Na ścianie nadal wisiła ich ślubna fotografia.

Gdy Mariah na nią patrzyła, nie mogła poskromić marzeń... Próbowała o tym nie myśleć, starała się nie rozglądać wokół i o nic nie prosić.

Ale Rhys uprzedzał wszystkie jej życzenia. Ułożył w szafach i komodzie jej rzeczy, przyniósł karton z książkami, które znalazł u niej w domu i ustawił je na półce obok łóżka.

- Nie byłem pewien, które czytasz, a które już przeczytałaś, więc przyniosłem wszystkie - oświadczył, a potem nauczył ją obsługiwać się pilotem do telewizora i wieży stereo. - Nie możesz teraz wstawać - dodał. - Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, naciśnij guzik interkomu. Usłyszę cię wszędzie i zaraz przyjdę. Nie powinnaś się w ogóle ruszać.

Przyglądała mu się zdumiona.

- Chyba oszaleję - wyjąkała.

Włożył ręce do kieszeni spodni i zdawał się poważnie rozważać jej słowa.

- Jutro, jeśli będzie słonecznie, pozwolę ci po południu posiedzieć na tarasie - postanowił po namyśle. - A teraz może chcesz coś zjeść?

Jak daleko on się jeszcze posunie? - pomyślała z głębokim westchnieniem.

- Owszem - powiedziała - pizzę z kanadyjskim bekonem i kiszoną kapustą!

Rhys przełknął ślinę.

- Masz ją jak w banku - powiedział spokojnie.

Pół godziny później usłyszała dzwonek do drzwi, a chwilę potem zjawił się Rhys, niosąc pizzę, dwa talerze i dwie szklanki mleka.

Zamrugała oczami ze zdumienia, gdy pizza okazała się dokładnie taka, jaką zamówiła.

- Wypij mleko - poprosił Rhys, gdy już zjedli pizzę.
- Przed pójściem do łóżka piję tylko gorące mleko - powiedziała z czystej przekory.

Rhys bez słowa zabrał szklankę z mlekiem do kuchni i po kilku minutach wrócił z kubkiem ciepłego napoju.

Nie lubiła ciepłego mleka, ale teraz nie miała już wyboru. Wyciągnęła się na łóżku i popijała wolno, małymi łykami, czując, jak ogarnia ją dziwny błogostan. Potem zaczęła bawić się pilotem i przerzucać kanały, celowo ignorując programy sportowe, aby wyprowadzić Rhysa z równowagi.

Obserwował jej zabiegi z niezmaconym spokojem. Napotkała w końcu jego spojrzenie. Uśmiechał się rozbajająco, jakby dokładnie przejrzał jej myśli.

Nie wytrzymała i uśmiechnęła się również. Nie mogła się powstrzymać. W gruncie rzeczy była przecież zadowolona, że Rhys tu był. Że byli razem.

Ta myśl wprowadziła ją w zakłopotanie.

Znow naciśnęła guzik pilota, trafiła na jakiś film i zaczęła go oglądać.

Rhys wstał, zebrał talerze i wyszedł.

- Dobranoc - powiedział z uśmiechem.

Czuł się tak, jakby wrócił do dawnego życia. Tak było, zanim Mariah zaszła w ciążę...

Przez następne kilka dni miło spędzali razem czas. Rozwiązywali krzyżówki z „Timesa”, czytali głośno książki, oglądali albumy ze zdjęciami.

Mariah zainteresowały zwłaszcza albumy. Rhys pokazywał jej rodzinne zdjęcia z dzieciństwa. Obejrzel wszystkie albumy prócz jednego. Tego, w którym były fotografie z jego wesela.

Ale za to opowiedział jej historię tego domu i mnóstwo aneg-

dot z dzieciństwa. Nigdy w życiu tyle nie opowiadał. A Mariah potrafiła słuchać.

Początkowo zamierzał spać w swoim pokoju, który znajdował się w odległym końcu domu. Zdecydował się jednak zająć gabinet Dominika, znajdujący się naprzeciwko pokoju Mariah. W nocy wstawał po kilka razy i zaglądał do niej. Sprawdzał czy śpi, a jeśli nie spała, pytał, co może dla niej zrobić.

- Usnę, gdy one usną - powiedziała pewnej nocy, gdy zastał ją stojącą w ciemności i masującą brzuch.

Widząc jej zaokrągloną sylwetkę w świetle księżyca, jej potargane włosy i ogromny brzuch, nagle przypomniał sobie, jak ponętnie i zgrabnie wyglądała w czerwonej sukni rok temu. Seksownie i kobieco. Miał wówczas ochotę ją pocałować. Do licha! Był zaskoczony, w jakim kierunku dryfują jego myśli!

Stał nieruchomo przy drzwiach.

- Kopia cię? - spytał.

- Stale mnie kopia. Tylko czasami udaje mi się je uspokoić.

- W jaki sposób? - zainteresował się.

- Czasami pomaga masowanie brzucha. - Wzruszyła lekko ramionami. - Wydaje mi się, że one to lubią. Tak jak ja lubię masowanie pleców. - To mówiąc, wygięła plecy i wydała cichy jęk zadowolenia.

Rhys poczuł, jak robi mu się gorąco.

- Czy... czy chcesz, bym pomasaował ci plecy? - spytał z drżeniem w głosie.-

Powinna zaprzeczyć. Powinna odmówić.

- To byłoby miłe - powiedziała wbrew sobie.

Przez ostatnie trzy dni przechodził samego siebie. Był troskliwy i uprzedzająco grzeczny. W dużej mierze przypominał tego Rhysa, którego znała wcześniej. Tego, którego pokochała. .. Ale tamten Rhys, z wyjątkiem tej jednej pamiętnej nocy, zawsze trzymał ręce z dala od niej.

Teraz zaś mówił urywanym, ledwie słyszalnym i nieco chrapliwym głosem:

- Jeśli chcesz, żebym zrobił ci masaż, połóż się na boku.

Posłusznie wykonała polecenie. Wyciągnęła się na szerokim łóżku i przekręciła na bok. Pod brzuch podłożyła poduszkę i pomasowała go delikatnie, mając nadzieję, że ruchliwe bliźniaki nieco się uspokoją.

Ale sama w ogóle nie była zrelaksowana. Jej zmysły osiągnęły stan najwyższego pobudzenia, gdy poczuła, jak materac ugina się pod ciężarem Rhysa.

- Masz dość miejsca? - szepnęła.

- Tak - odpowiedział.

Na zewnątrz fale rozbijały się z hukiem o brzeg. Chyba równie głośno biło serce Mariah.

- Och!-jęknęła cicho.

- Mocno kopią?

- Tak. - Sięgnęła do tyłu, wzięła go za rękę i przycisnęła ją do swego brzucha.

Dziecko jak na zawołanie mocno kopnęło. Rhys cały zesztyniał. Nie oderwał ręki i gdy dziecko znów się poruszyło, pogłaskał je delikatnie.

- Och, przepraszam. - Zmieszany oderwał dłoń od jej brzucha i zaczął masować kręgosłup.

Ugniatał krąg po kręgu, a Mariah jęczała z cicha.

- Coś się stało? - zapytał, gdy jęknęła głośniej.

- Nie... Dobrze mi - zapewniła.

Było jej cudownie. Wspaniale. Wyginała plecy pod naporem jego palców. Oparła głowę na poduszce i poddała się rytmowi masażu. Napięcie z wolna ustępowało. Głęboko wciągała powietrze, potem wypuszczała je z satysfakcją.

- Taak...

Przymknęła powieki. Oddychała teraz lekko, głęboko. Wy-

prostowała ramiona, rozluźniła mięśnie. Nawet dzieci były teraz spokojne. Mogłaby tak leżeć w nieskończoność.

Było tak cicho, że słyszała tylko przyspieszony oddech Rhysa. Żałowała, że nie może zobaczyć jego twarzy...

Palce Rhysa poruszały się wolno, leniwie, w górę i w **dół** jej pleców; potem dotarły do ramion i znieruchomiały.

Nie poruszyła się, nie odwróciła.

Poczuła, że Rhys głaszcze ją po głowie. A potem coś miękkiego dotknęło jej policzka. Czyżby to były jego usta?

Po chwili Rhys wstał i wyszedł. Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi.

Uniosła rękę i dotknęła policzka. Był wilgotny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdyby tylko wiedział, że tak podnieci go samo dotykanie jej pleców, nigdy nie zaproponowałby masażu!

Zdenerwowany wyszedł na taras, a potem zbiegł po schodach na plażę.

To wszystko nie miało sensu! I na pewno nie sprzyjało spokojnemu zaśnięciu. Dlatego spacerował teraz po plaży, podniecony, rozstrojony, pełen sprzecznych myśli. Ale jednemu nie mógł zaprzeczyć - pragnął tej kobiety, nawet teraz, gdy była w zaawansowanej ciąży! I nie miał żadnych szans na zaspokojenie tego pożądanego...

Rzucił się do oceanu i zanurkował prosto pod nadciągającą falą. Może lodowata woda podziała jak lekarstwo...

Gdy trzęsąc się z zimna i szoku, stanął na dnie, coś zaszokowało go jeszcze bardziej. Usłyszał głos Mariah wśród huku rozbijających się fal!

- Rhys!

- Co... co ty tu robisz?! - krzyknął.

Nie wierzył własnym oczom. Widział jednak wyraźnie jej sylwetkę w świetle płynącym z domu. Widział, jak niepewnym krokiem idzie ku niemu po piasku!

Wybiegł z morza, otrząsając się z zimnej wody.

- Nie powinnaś wychodzić! - krzyknął ze złością, dopadając do niej.

- A ty nie powinieneś sam pływać o lej porze - odcięła się równie zgryźliwym tonem.

- Na litość boską! - Przesunął drżącą ręką po mokrych włosach. - Wcale nie pływałem.

Omiotła uważnym spojrzeniem jego ociekające wodą ciało.

- Doprawdy? - spytała. - Czyżbym miała halucynacje?

Stali naprzeciw siebie tak blisko, że czuł na zmarzniętym ciele jej ciepły oddech, tak blisko, że jeden krok wystarczył by dotknął jej wystającego brzucha.

Nie cofnęła się, nie poruszyła. Jej kasztanowe włosy osrebrzone promieniami księżycy powiewały łagodnie na wietrze. Pomyślał, że stoi oto przed najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział... Poczował dreszcz pożądania,

- Zimno ci? - Podała mu ręcznik.

Wytrzeł twarz, a potem całe ciało. Dopiero po chwili spostrzegł, że Mariah trzyma w ręku coś jeszcze.

- Co to jest? - spytał zdziwiony, spoglądając w dół.

Wyciągnęła rękę i pokazała mu pomarańczową kamizelkę ratunkową, jedną z dwóch, które wisały na ogrodzeniu.

- Zamierzałaś rzucić mi się na ratunek?

- Jeśli byłoby to konieczne... - Głos miała chłodny, opanowany. Ale ręka jej drżała.

- O Boże! - szepnęła, naprawdę poruszony. Zrzucił ręcznik na szyję i wziął Mariah pod ramię. - Chodźmy. Nie powinnaś się denerwować. Miałaś spać. Jesteś szalona.

- Powinieneś mi powiedzieć. - Oparła się o niego, a on natychmiast objął ją ramieniem.

Ciepłe kobiece ciało rozgrzewało go, na nowo rozpalało w nim ogień. Zdołał jednak opanować zdrożne myśli. Dopiero na tarasie puścił jej ramię i odsunął się o krok.

- Nigdy więcej tego nie rób - rzekł surowo.

- Ty też. Gdybyś... - Nie dokończyła.

Nie musiała kończyć. Nagle zrozumiał jej strach. Chciał ją zapewnić, że nic by się przecież nie stało...

- " - Idź spać - powiedział tylko.
Posłuchała go bez słowa.

Zrobiła z siebie idiotkę! Nic, to było zbyt łagodnie powiedziane. Poszła za nim z kamizelką ratunkową! Tak jakby mogła go uratować, gdyby naprawdę się topił!

Zasypiając, nasłuchiwała kroków, które powinny oddalać się w kierunku jego pokoju. Ale zamiast tego usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi na taras.

Zaintrygowana, wstała i zobaczyła, jak Rhys długimi susami zmierzał w stronę oceanu. Ogarnęła ją panika.

Tysiące przerażających myśli zawirowało jej w głowie. Co będzie, jeśli...? Bez zastanowienia złapała ręcznik, a po drodze tę idiotyczną kamizelkę ratunkową i, tak szybko jak tylko mogła, popędziła na brzeg. Jak idiotka!

O Boże! Przeszył ją dreszcz. Przyłożyła dłoń do policzka. Nadal był gorący z powodu zażenowania. Już więcej tak się nie zachowa. Musi opanować emocje i przestać poddawać się nieuzasadnionej panice.

Usłyszała w korytarzu kroki Rhysa. Zatrzymał się pod jej drzwiami.

- Nie śpisz? - spytał.

Przez moment miała ochotę udawać, że śpi. Ale tylko przez moment.

- Nie - powiedziała.

- Przyniosłem ci gorące mleko. - Po krótkim wahaniu wszedł, postawił kubek obok jej łóżka.

- Dziękuję

Stał w drzwiach. Czują na sobie jego wzrok.

'- Nie miałem zamiaru... Nic by się przecież nie stało, Mariah - zapewnił.

Z trudem przełknęła ślinę. Sięgnęła po gorący kubek, podniosła go do ust. Miała całkiem ściśnięte gardło.

- Wiem - wykrztusiła. - W porządku.

- Dobranoc, Mariah. - Powoli odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Siedziała przez chwilę z kubkiem gorącego mleka w ręce i... marzyła. Ciągłe marzyła.

. Przestań, ostrzegła się w duchu.

Ale to nie pomogło. Marzyła dalej.

Nazajutrz Rhys zdecydował, że Mariah może wyjść na świeże powietrze.

- Nie masz skurczów, prawda? - upewniał się. - Myślę, że nadszedł czas, abyśmy poszerzyli nasze horyzonty.

Po wydarzeniach ostatniej nocy utrzymywało się pomiędzy nimi pewne napięcie. W powietrzu krążyły nie dokończone słowa, nie wypowiedziane myśli. A jeśli chodzi o Rhysa, również nie zaspokojone pragnienia.

W tej sytuacji postanowił wyrwać się choćby na chwilę z zbyt ciasnej, jak się okazało, przestrzeni domu. Postanowił wyruszyć z Mariah w plener.

Usadowił ją w samochodzie i zabrał na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.

Latem taka wycieczka byłaby szaleństwem, drogi bowiem zatłoczone były ludźmi wyjeżdżającymi na wakacje. Lecz o tej porze roku droga świeciła pustkami. Dzień pomimo późnej jesieni był pogodny, niebo bezchmurne, a fale oceanu łagodnie obmywały piaszczysty brzeg. Dojechali do samego Montauk. W małej restauracji w pobliżu plaży zjedli lunch. A potem pospacerowali trochę, zatrzymując się przed wystawami sklepów.

Na wystawie sklepu z zabawkami stały pluszowe misie

w różnych rozmiarach i strojach. Na widok misia z brzuchem prawie tak dużym jak jej własny Mariah Wybuchnęła śmiechem.

- Mama misio - powiedziała. - Bardzo mi się podoba. I wiem dokładnie, jak ona się czuje. Spójrz! - Wskazała parę małych misiów w łódce, ubranych w identyczne marynarskie ubranka. - Bliźniaki!

Były tam też misie-lekarze i misie-nauczyciele, a nawet w odległym kącie wystawy Rhys zauważył misia-strażaka wspinającego się po drabinie. Ubrany był w żółte gumowce, kombinezon i strażacki hełm.

- Czyż nie jest cudowny? - zachwyciła się Mariah.

Czuła się dziś dobrze, prawie w ogóle nie miała skurczów. Ale po powrocie do domu posłusznie położyła się do łóżka i nie próbowała pomagać, gdy Rhys gotował obiad.

Pochwalił jej powściągliwość.

- Staram się być grzeczna - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. - Chciałabym jeszcze raz podobnie spędzić dzień.

Nazajutrz zabrał ją do pobliskiego portu. Chodzili wzdłuż doków i oglądali łódki. Był niezbyt wietrzny, słoneczny dzień. Rhys opowiadał o swoich wyprawach na ryby z Dominikiem.

- Czy również żeglowaliście? - spytała z nutką zazdrości w głosie.

- Owszem, w dzieciństwie. Było wspaniale!

- Ja nigdy nie żeglowałam...

- A miałybyś ochotę?

- No pewnie! - Twarz jej pojaśniała.

Czy mężczyzna mógłby w takiej sytuacji odmówić?

To było najcudowniejsze doświadczenie, jakie zapamiętała.

Nie wierzyła, że Rhys naprawdę może spełnić jej życzenie. Skąd, na litość boską, wyczaruje żaglówkę?

Ale on spisał się na medal. Ubrał Mariah w kamizelkę ratun-

kową i motorówką podpłynęli do żaglówki przycumowanej do nabrzeża basenu portowego. Przesadzenie jej z jednej łodzi do drugiej wymagało trochę zachodu, ale w końcu siedziała na rafie i mocno trzymała się relingu, ponieważ żaglówka huśtała w górę i w dół. Z zainteresowaniem patrzyła, jak Rhys rozwija żagiel

- Pomóc ci? - spytała.

- Tak - odpowiedział z przekąsem. - Siedź spokojnie i nie wchodź mi w drogę.

Gdy rozwinięte żagle złapały wiatr, łódka pomknęła po wodzie jak strzała.

- O Boże! - Mariah uśmiechała się radośnie. - Jest fantastycznie! - Odchyliła się i wystawiła twarz do słońca, rozkoszując się ciepłymi promieniami i wiatrem, który targał jej włosy.

Rhys również wyglądał na człowieka szczęśliwego.

- Jak cicho - odezwała się Mariah. Słyszeć było tylko łopot żagli i fał rozbijających się o burtę. - Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Szarmancko skłonił głowę.

Wyprawa nie trwała długo. Nie wypłynęli poza spokojne wody przybrzeżne. Ale nic miało to znaczenia. Mariah czuła się odświeżona i zrelaksowana, a przede wszystkim bardzo szczęśliwa.

W drodze do domu co chwila ziewała.

- Zmęczona, prawda? - skonstatował. - Przepraszam.

Potrząsnęła głową i odezwała się sennym głosem:

- Bynajmniej. Było fantastycznie.

Żyj chwilą, zwykła powtarzać jej matka.

W takie popołudnie jak dziś nietrudno było stosować się do tej maksymy.

Izzy i Chloe postanowiły urządzić dla Mariah przyjęcie.

- Nie mogę przyjechać do miasta - usprawiedliwiła się Mariah.

- Nie szkodzi - oświadczyła Izzy. - My przyjedziemy do ciebie.

- Przyjęcie? - Rhys wyglądał na zaskoczonego, gdy Mariah mu o tym wspomniała.

- Taka jest tradycja - odparła Mariah. - Świątuje się przyszłe macierzyństwo. I my będziemy świętować, Rhys! - dodała stanowczo, żeby przerwać dyskusję.

Rhys skinął głową.

Chloe i Izzy zapowiedziały się na sobotę po południu. Mariah niepokoiła się trochę, żeby Rhys przypadkiem nie wyjechał. Przez cały tydzień chodził poirytowany. Dwa razy rozmawiał z kimś przez telefon. Domyślała się, że prawdopodobnie z szefem. Oby nie wynalazł sobie jakiegoś pożaru, który będzie wymagał jego natychmiastowej interwencji!

- Nie wyjeżdżasz chyba, prawda? - spytała nerwowo w piątek wieczorem.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Oczywiście, że nie. - Tak jakby w tej sprawie nie było żadnych wątpliwości. - Powiedziałem ci przecież, że będę przy tobie aż do urodzenia dzieci.

Granica była wyraźnie zaznaczona. To był ostateczny termin. Aż do urodzenia dzieci... A co potem?

Spotkanie z przyjaciółmi sprawiło jej ogromną przyjemność.

Izzy i Chloe zaprosiły wszystkich - Sama i Josie, Stellę, Lindy i Gerta z redakcji, panią Alvarez, państwa Gillespies - sąsiadów z góry, Damona i Kate Alexakisów, Dominika i oczywiście Sierrę i Kevina.

Ucieszyła się na widok Kevina.

Dzwonił do niej kilkakrotnie, ale za każdym razem spała. Dziś na powitanie objęli się i uściskali.

- Wspaniale wyglądasz - powiedział Kevin z uśmiechem.
- Naprawdę kwitnąco i zdrowo. - Dotknął jej policzka. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Była to szczerza prawda.

- A co u ciebie?

Kevin uśmiechnął się ponuro.

- Znow jestem sam.

- Pewnego dnia kogoś znajdziesz. - W geście pocieszenia położyła dłoń na jego ramieniu.

- Mariah - wtrącił się kategorycznie Rhys, odciągając ją na bok. - Izzy chce poznać twoją opinię na pewien temat

- Pogadamy później! - obiecała Kevinowi.

Ale później nie było już czasu. Tyle się działo.,. Przede wszystkim musiała otworzyć prezenty - te wszystkie małe i duże pięknie opakowane paczuski z ubrankami, pieluszkami i kocykami; dostała nawet podwójny wózek i dwa dziecięce krzesła.

Rhys oparty o ścianę przyglądał jej się z zaciekawieniem.

Była naprawdę zdumiona, gdy znalazła również prezent od niego. Otworzyła ostrożnie paczkę. W środku znalazła pluszową zabawkę - misia, a raczej panią misiową w ciąży — którą widzieli na wystawie sklepu w Montauk.

„Żebyś nie czuła się samotnie” - było napisane na dołączonej karteczce.

- Och, Rhys, dziękuję... - Przytuliła misia do piersi. Podniosła wzrok i spojrzała na Rhysa, ale jego niebieskie oczy były niezgłębione. Nie odrywali od siebie spojrzenia.

- Co będziesz miała? Chłopców czy dziewczynki? A może parkę? - Kate Alexakis przerwała chwilę oczarowania.

Mariah potrząsnęła głową, usiłując wrócić do rzeczywistości.

- Nie wiem. Nie chciałam, żeby lekarz mi powiedział.
- Jakie wybrałaś imiona? - dopytywała się Chloe.

Mariah znów popatrzyła na Rhysa. Ale on wyglądał na równie zainteresowanego jej odpowiedzią, jak reszta towarzystwa. Cóż, potrząsnęła niezdecydowanie głową. Nie była to decyzja, którą chciałyby podejmować sama. Ojciec dzieci też miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

- Lepiej zaczynajcie o tym myśleć - powiedział Finn. - My wykorzystaliśmy już wszystkie fajne imiona. Tansy, Pansy, Rip i Crash. - Roześmiał się głośno.

- Coś wymyślimy - odparła Mariah, znów spoglądając na Rhysa. Zauważyła, że Dominik też na niego patrzy, tak jakby oceniał postawę brata. Chciałyby mieć okazję porozmawiania z bratem Rhysa na osobności, by dowiedzieć się czegoś więcej, by zrozumieć.

Gdy po kolacji Mariah raz czy dwa skrzywiła się, podenerwowany Rhys natychmiast przerwał rozmowę z Finnem i podbiegł do jej fotela.

- Dobrze się czujesz?
- Oczywiście, w porządku. - Ale gdy to mówiła, poczuła znów mocne kopnięcie pod żebrzem, a potem skurcz. - To nic...
- Musisz się położyć. - Rhys był zaniepokojony.
- Nie mogę się położyć. Jest środek przyjęcia.
- Z tym nie będzie problemów. - Wstał i zakomunikował donośnie: - Mili państwo, czas do domu!

- Rhys!

Ale Rhys był nieugięty.

- Mariah musi odpocząć. Pożegnaj gości, Mariah. - Wzięła ją za rękę.

- Rhys, nie możesz... - usiłowała protestować.

Izzy, Chloe, Finn i Gib natychmiast zaczęli się zbierać do wyjścia. Reszta gości poszła w ich ślady.

Sierra wychodziła ostatnia.

- Wszystko w porządku? - Uścisnęła serdecznie Mariah na pożegnanie.

- Tak - odpowiedziała Mariah. - Naprawdę.

- Widzę, że Rhys dobrze się spisuje.

- Rhys ma zadatki na tyrana!

- Robi to, co powinien. - Sierra zerknęła na niego prawie z sympatią. - On dojrzewa, siostrzyczko.

Mariah popatrzyła na Rhysa, który pomagał Finnowi pakować prezenty do samochodu. Finn miał je zawieźć do mieszkania Mariah.

- Tak uważasz? - zwróciła się do Sierry. O Boże, jak bardzo chciała w to wierzyć!

- Jestem pewna, że gdy zobaczy dzieci...

Trzask bagażnika samochodowego przerwał rozważania Sierry. Rhys podszedł do nich i gestem posiadacza ujął Mariah za ramię.

- Dobranoc, Sierro - powiedział rozkazującym tonem.

- Tak jest! - Sierra zsalutowała mu z uśmiechem. - A nie mówiłam? - Puściła oko do Mariah i wyszła.

Kazał jej natychmiast się położyć. Powiedział, że zajrzy do niej, gdy posprząta.

Musiała przyznać przed sobą, że była naprawdę wykończona. Bez słowa protestu ciężkim krokiem pomaszerowała do swojej sypialni. Dzieci były bardzo niespokojne, cały czas rozrabiały, okładając pięściami i ją, i -jak przypuszczała - również siebie nawzajem.

- Urodzicie się posiniaczeni - szepnęła, układając się na boku tak, by zrobić im więcej miejsca.

Leżała w łóżku, gdy do pokoju zajrzał Rhys.

- W porządku? - spytał.

- Tak, dzięki, Rhys. Czy możesz coś jeszcze dla mnie zrobić? Przynies mi mojego misia...

Skinął głową, ale minę miał trochę zaskoczoną.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała, gdy po chwili wrócił z misiem.

Stał i nic nie mówił.

- To było udane przyjęcie, prawda? - powiedziała.

Znow skinął głową.

Potarła policzek o miękkie futerko misia.

- Czy... czy mógłbyś pomasażować mi plecy? - spytała.

- Jeśli chcesz... - Przełknął ślinę. Na moment przytknął powieki, potem znów je otworzył. - Tylko zamknę drzwi. Zaraz wracam.

Gdy wrócił, zgasił światło i usiadł przy niej na łóżku. Poczwała na plecach jego palce, ucisk jego kciuków na kręgosłupie. Czwała, jak jej ciało się rozluźnia, relaksuje w rytm jego delikatnych, niespiesznych ruchów.

- Rhys? - szepnęła mu prosto do ucha.

Zdezorientowany, raptownie usiadł. Potem zdał sobie sprawę, że usnął obok niej, trzymając ją w objęciach. Był środek nocy.

- Przepraszam... - Wstał raptownie. Przeczesał palcami włosy. - Potrzebujesz czegoś? Wszystko w porządku?

- Tak. - Przełknęła ślinę. - Myślę, że to już... - Roześmiała się nerwowo. - Od godziny liczę skurcze. Są silne i regularne. Chyba naprawdę rodzę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie pozwolili mu tam z nią pójść. Powiedzieli, że nie ucęszczał do szkoły rodzenia, nie zna się na oddychaniu i nie potrafi pomóc rodzącej kobiecie.

- Jestem strażakiem! - krzyknął. - Wszystko potrafię!
- Ona ma już opiekuna - odparła pielęgniarka w recepcji szpitala, przeglądając papiery.
- Kogo? - A co będzie, jeśli okaże się, że to Kevin?!
- Sierrę - odpowiedziała mu cicho, siedząca obok na wózku Mariah.

Była bardzo blada, miała płytki oddech. Ale uścisk jej dłoni był mocny, tak samo zresztą, jak podczas trwającej godzinę jazdy do miasta.

Rhys spojrzał najpierw na jej splecione palce, potem na nią.

- Chcesz, żeby była przy tobie Sierra? - spytał.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Chcę ciebie.

Te słowa powinny skłonić go do natychmiastowej ucieczki.

Ale, o dziwo, pozostał na miejscu. W akcji zawsze potrafił sprostać wymaganiom. Teraz też sobie poradzi.

To było niesamowite przeżycie. Najbardziej poruszające doświadczenie w całym jego życiu.

Zawsze podziwiał w Mariah jej ciepło, otwartość, entuzjazm. Była łagodna, pogodna i szczęśliwa. Spędzili razem wiele miłych chwil.

- Teraz Mariah była twardsza od skały. Silna i uparta. Takiej jej dotąd nie widział.

Lekarz powiedział, że dzieci przyjdą na świat trochę za wcześnie, że są małe i trzeba im pomóc.

- Im mniej środków znieczulających, tym lepiej - oświadczył. - Nie możemy spowalniać ich reakcji, rytmu ich serc.

Marian wysłuchiwała i skinęła głową. Ścisnęła Rhysa za rękę.

- Podam ci coś tylko wówczas, gdy naprawdę będzie to potrzebne - powiedział lekarz. - Choć wolałbym i tego nie robić.

- Dam sobie radę - zapewniła go Mariah. Potem zwróciła się do Rhysa: - Mów do mnie.

Mówił. Rozmawiali o wszystkim. O jej dzieciństwie na farmie w Kansas, jego młodości w Nowym Jorku, psotach, które robił razem z braćmi. Wiedział, kiedy przychodziły skurcze. Masował jej plecy, poił ją kostkami lodu, masował jej stopy.

Skurcze stawały się coraz częstsze i silniejsze. Oddychała wtedy głęboko i ścisnęła go za rękę. Patrzyli sobie w oczy.

Przez te wszystkie minuty, które wydawały się godzinami, Mariah była maksymalnie skupiona, zdeterminowana i silna. A Rhys siedział u jej wezglowia, mocno ścisnął ją za ręce i razem liczyli oddechy.

- Dobra robota - chwalił ją. - Doskonale! - Czuł się trochę jak szarlatan, który dodaje animuszu komuś, kto musi sam wykonać ciężką pracę. Gdy nic nie mówił, prosiła:

- Mów do mnie, do diabła! O Boże! Boże! Boże! - krzyczała, gdy przeszywał ją ból. A potem: - Przepraszam, złamię ci palce...

Rhys o to nie dbał. W ogóle nie zauważył, że Mariah gorączkowo ścisnęła jego dłoń.

- Oddychaj głęboko - powiedział. - Musisz przeć. - Jakimś cudem wiedział, co powinna robić. Po prostu wiedział. Krzyknął na pielęgniarkę: - Coś się dzieje! Róbcie coś!

- Oddychaj głęboko - szepnęła do niego Mariah, a w jej oczach błysnęły iskierki humoru.

Pielęgniarka znów ją zbadała.

- Szybko! - zawołała lekarza.

- Nareszcie - odetchnął Rhys. - Dochodzimy do celu.

Ale to, co minęło, nie było jeszcze najgorsze.

- Przyj! - zachęcał lekarz, podczas gdy Rhys jedną ręką wycierał jej czoło, a drugą ścisnął jej rękę. - Dobrze... Jeszcze... Tak trzymaj! Mocniej! Mocniej! Jeszcze raz! - Mówił coraz głośniejsze i coraz szybciej.

Wytrzymała wszystko. Twarz miała purpurową z wysiłku, a ciało jej drżało. Zagryzała wargi. Wyłamywała palce. Szukała wzrokiem oczu Rhysa.

- Przepraszam, że cię w to wpakowałem - powiedział w pewnej chwili.

- Nie mów tak - wyszeptała przez zaciśnięte zęby. - Nigdy tak nie mów.

- Jest! - wykrzyknął lekarz, podnosząc do góry noworodka.

- To dziewczynka!

Mariah śmiała się i płakała jednocześnie.

- Czy... czy jest zdrowa? - spytała pielęgniarkę krzątającą się wokół płaczącego dziecka.

- Ma wszystko na swoim miejscu - rzekł lekarz. - Prawdziwa piękność, widzisz? - Wziął dziecko z rąk pielęgniarki i podniósł do góry, aby Mariah mogła je obejrzeć. - Widzisz, tato? - zwrócił się także do Rhysa.

Miał ją dokładnie przed oczami. Była taka maleńka i cały czas się poruszała. Oczy miała otwarte tak, jakby na kogoś patrzyła ze zdumieniem.

Rhys, naprawdę wzruszony, potrafił tylko w milczeniu skinąć głową.

- Ale jesteśmy dopiero w połowie drogi. - Położnik oddał

dziecko pediatrze, który właśnie wszedł. - Mamy jeszcze dużo pracy. Doskonale ci idzie, Mariah. Jesteś gotowa?

Rhys poczuł, że znów zaciska palce na jego dłoni. Gdzie znalazła siłę, by jeszcze raz przez to przejść? Tego Rhys nie wiedział.

Ale dobyła z siebie jeszcze mnóstwo sił i kilka minut później drugie ciemnowłose maleństwo wydostało się na świat.

- Moje gratulacje! - Lekarz położył noworodka na brzuchu Mariah. - Macie córkę i syna.

Rhys chciał popatrzeć na dziecko, ale mgła przesłoniła mu oczy. Po chwili opanował się i spojrzał na Mariah, czując jej drżące palce na swojej dłoni.

- Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Bardzo dobrze - wyszeptwała; starała się znów ścisnąć mu dłoń, ale zaledwie go dotknęła, jakby nagle zabrakło jej sił.

- Panie Kelly? - odezwał się pediatra.

Rhys zamrugał oczami. Dopiero po chwili zrozumiał, że lekarz zwraca się do niego.

- Wolfe - powiedział. - Nazywam się Wolfe.

- Przepraszam. Mamy tylko nazwisko pańskiej żony. Włożymy teraz dzieci do inkubatora, na wszelki wypadek, oczywiście - dodał z uśmiechem. - Urodziły się trochę za wcześnie, ale są bardzo zdrowe. Małe, ale silne. A teraz proszę się udać za mną. Musimy przeprowadzić wywiad...

Lekarz mówił przez cały czas, Rhys czasami odpowiadał. Ale właściwie nic myślał. Siedział w gabinecie pediatry, ledwie zdając sobie sprawę, że pielęgniarki krzątały się wokół jego dzieci. Raz jeszcze odtwarzał wszystko w myślach - widział Mariah, która nadludzkim wysiłkiem parła, oddychała...

Do licha, gdzie ona teraz jest?

Wyciągnęli go z sali porodowej, nim lekarz skończył się nią

zajmować... Czy dobrze się czuła? Musiał natychmiast się dowiedzieć, czy z nią wszystko w porządku!

- Gdzie... gdzie jest moja żona? Muszę zobaczyć... moją żonę! - Wszyscy tu tak ją nazywali. Dlaczego on miał mówić o niej inaczej?

- Jeszcze moment, panie Wolfe - powiedziała pielęgniarka. - Jeszcze kilka pytań... - Dopiero chwilę później podała numer pokoju Mariah.

Szybko poszedł korytarzem.

Leżała w łóżku z twarzą pobladłą i zamkniętymi oczami. Zbliżył się, by sprawdzić, czy oddycha. Po drodze potrącił stojący obok łóżka stolik.

Mariah otworzyła oczy. Były nabiegłe krwią, ale ożywione.

- Cześć! - Głos miała ochryply, zmęczony.

- Cześć! - Pochylił się i odgarnął jej z twarzy zbłąkany kosmyk włosów. - Byłaś cudowna - powiedział cicho.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Jej ręka już nie drżała. Była miękka i chłodna. Zaczął delikatnie rozcierać ją w swojej dłoni.

- One też są cudowne - odpowiedziała. - Dziękuję ci, Rhys.

Wpatrywał się w nią, niczego nie pojmując.

- Dziękuję - powtórzyła, przyciskając jego rękę do ust. - Za dzieci. Za wszystko co dla mnie zrobiłeś. Nie musisz zostawać, Rhys. Możesz już iść.

Poszedł. Do diabła - poszedł!

Przecież tego właśnie chciał. Chciał być sam. Wolny. Nieskrępowany. Mógł podpisywać czeki, byle nie mieć zobowiązań. Nie chciał zobowiązań. Czyż tego wielokrotnie nie powtarzał?

Wyszedł ze szpitala, wrócił na Long Island i spakował bagaż. Potem zatelefonował do szefa:

- Jestem gotów wyjechać. Gdziekolwiek.

- Indonezja. - Szeft był uradowany. - Możesz złapać najbliższy samolot?

Mógł. I zrobił to z ochotą.

W drodze na lotnisko wstąpił raz jeszcze do szpitala. Chciał rzucić okiem na swoje maleństwa. Zauważył, że mają już imiona - Stephen i Elizabeth.

Odpowiednie imiona, pomyślał. Solidne.

Zamierzał wstąpić do Mariah i dać jej prezent. Ale gdy zajrzał do jej pokoju, było tam mnóstwo gości. Finn i Izzy. Stella. I Sierra. I Kevin...

Zostawił prezent w dyżurce pielęgniarek.

- Proszę jej to znieść, spieszę się - rzucił.

Miała wsparcie. Jego nie potrzebowała.

Ale on potrzebował jej. Potrzebował ich wszystkich. Mariah. Elizabeth i Stephena.

Nie było minuty, by o nich nie myślał. Nie mógł przestać o nich myśleć!

Starał się wrócić myślami do Sarah i tamtego dziecka... Próbowował użyć ich jako tarczy. Bez skutku.

Mariah, Stephen i Elizabeth - tak samo jak Sarah i tamto dziecko - byli w jego sercu.

Walczył z ogniem w Indonezji, jakby walczył z własnymi uczuciami. Ugasił pożar, ale uczucia trwały.

Kochał ich. I chciał wrócić do domu.

Pragnął zadzwonić do Mariah, pragnął z nią porozmawiać, dowiedzieć się, jak się czuje i czy daje sobie radę. Czy czegoś nie potrzebuje... czy jest jej potrzebny?

Z lękiem w sercu przeczuwał, że nie.

Była taka silna, dzielna, niezależna. W czasie porodu trzymała go za rękę, a przecież niewiele potrafił jej pomóc. A potem... Podziękowała mu, że tam był, za dzieci i za wszystko.

I pozwoliła mu. odejść.

- Do diabła, Mariah - szeptał w poduszkę co najmniej sto razy w ciągu nocy. - Czy mnie kochasz? Czy kiedykolwiek będziesz mogła mnie pokochać?

Musiał ją zobaczyć, spojrzeć jej w oczy. Jeśli zadając pytanie, spojrzy jej w oczy, będzie wszystko wiedział.

W Kansas święta Bożego Narodzenia wyglądały zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Żadnych spieszących się tłumów, kolorowych wystaw ani gigantycznej choinki przed Rockefeller Center.

Mariah wraz z Sierrą pojechały na święta do domu. Oczywiście, zabrały ze sobą Elizabeth i Stephena. Sierra przyjechała do rodziców na tydzień, Mariah z dziećmi miała zostać dłużej.

- Miesiąc, dwa,.. Ile tylko zechcesz - powtarzali jej rodzice. Przyjęły ją z radością, z otwartymi ramionami.

Mariah kochała ich za to; za opiekę i pomoc przy nocnych karmieniach, kolkach, za wsparcie w chwilach słabości i zwątpienia.

- Już czuję się lepiej - oświadczyła matce po tygodniu.

Rzeczywiście, ułożyła sobie plan dnia i ściśle go przestrzegała. Znajdowała nawet trochę czasu na pracę zawodową - raz godzinę, innym razem kwadrans dziennie.

- Świetnie ci idzie - chwaliła ją matka. - Wychowanie dziecka wymaga pomocy wielu osób, a ty masz dwoje dzieci.

Matka nie pouczała jej, nie prawiła kazań, nie zadawała niewygodnych pytań, może tylko była trochę smutna. Raz tylko zapytała córkę, czy go kocha.

Mariah go kochała. Nadal. Tęskniła za nim. Śniła o nim po nocach. Huśtając dzieci do snu, opowiadała im o ojcu.

- Wasz tata to dobry człowiek - mówiła. - Silny. Odważny. Być może pewnego dnia go poznacie...

Brat Rhysa, Dominik, odwiedził ją tuż przed jej wyjazdem

z Nowego Jorku. Przyniósł mnóstwo prezentów. Pozwoliła mu wziąć na ręce Stephena, który jednak zaczął płakać i się zmożył.

Dominik zachował się jak prawdziwy mężczyzna - oddał dziecko w ręce Sierry.

Po jego wyjściu Marian miała łzy w oczach. Dominik był tak podobny do Rhysa! Podzieliła się tą obserwacją z siostrą.

- I podobnie się zachowuje - burknęła Sierra. - Obydwaj są przegrani.

- Nie. - Rhys był po prostu człowiekiem świadomym swych ograniczeń.

Wiedziała, że wyjechał. Nie wiedziała jednak dokąd. A przecież powinna być z Rhysiem w stałym kontakcie, na wypadek gdyby...

Tamtego dnia w szpitalu dopiero późnym popołudniem zjawiała się pielęgniarka z paczuszką w ręku.

- To dla pani - powiedziała. - Zostawił pani mąż.

- Mój...? - Mariah nie wypowiedziała ostatniego słowa; wzięła małą paczuszkę owiniętą w pastelowy papier. Na wizytówce napisano tylko jedno słowo „Bliźniaki”, pod którym Rhys złożył swój stanowczy, męski podpis.

Gdy otworzyła paczkę, znalazła dwa małe misie w marynarskich ubrankach. Zamrugła powiekami. Przełknęła ślinę. Łzy pociekły jej po policzkach.

Misie-bliźniaki siedziały teraz na nocnym stoliku w dziecięcej sypialni. Za nimi pani misiowa w zaawansowanej ciąży. Mariah za każdym razem, gdy przechodziła obok, głaskała ją po brzuchu.

T zrobiła tak teraz, idąc do łóżeczka kwilącej Elizabeth. Jeśli uda jej się nakarmić ją, nim obudzi się Stephen, nie będzie musiała prosić matki o pomoc.

Usiadła w bujanym fotelu i przystawiła Elizabeth do piersi. Dziecko spojrzało na nią, a potem zaczęło ssać.

Mariah pogłaskała małą po miękkich, ciemnych włoskach, ciemniejszych niż jej własne. Podobnych do włosów Rhysa.

Gdy usłyszała dzwonek do drzwi, zignorowała go. Ojciec pojechał z Sierrą po choinkę. Ale w kuchni była matka. Na pewno otworzy drzwi. Dużo znajomych i sąsiadów przychodziło do Kellych zobaczyć Mariah i jej piękne bliźnięta. Ciekawa była, kto przyszedł tym razem.

Drzwi uchyliły się i matka wsunęła głowę do środka.

- Masz gościa - powiedziała.

Drzwi otworzyły się szerzej.

- To ja... - powiedział Rhys.

Mariah poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. A potem opada i zaczyna bić jak szalone.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Rhys? Tutaj?

Zobaczyła jeszcze matkę, która zza pleców Rhysa uśmiechnęła radośnie, a potem zamknęła drzwi.

Wyglądał cudownie. Niczym antyczny bóg: opalony, silny, przystojny. W jego ciemnych włosach lśniły płatki śniegu.

Powitała go uśmiechem, ale nie ruszyła się z miejsca. Oczywiście, nie mogła, ponieważ karmiła dziecko. Gdyby nie to, chwyciłaby go mocno w objęcia, przywarta do niego i nigdy już nie wypuściła! Nie, nie mogła znów tego zrobić.

- Co za niespodzianka! - Starła się, by jej głos zabrzmiał radośnie. Ale brzmiał zdecydowanie nerwowo. Oblizła spierzchnięte wargi. - Dlaczego... - Nie, nie mogła o to pytać. - Miło, że przyjechałeś na święta.

Tak było o wiele lepiej. Uprzejmie. Obojętnie. Niezobowiązująco.

- Nie przyjechałem na święta - powiedział.

Zauważyła ze zdziwieniem, że mówił niepewnie i był wyraźnie zdenerwowany. Zaciskał palce na prezencie świątecznym, który trzymał w dłoniach.

- A więc po co...

Przerwał jej, nim zdążyła dokończyć pytanie.

- Przyjechałem, ponieważ cię kocham - powiedział.

Wpatrywała się w jego oczy. Nieszczęśliwe oczy, pomyślała. Oczy pełne bólu. Zrozpaczone.

Z jej powodu. Czy to było możliwe? A jednak...

Palcami miażdżył pudełko. Przeszywał ją wzrokiem.

- Wiem, że mnie nie potrzebujesz, Mariah... I pamiętam, że tego nie chciałem... Nie mogę teraz oczekiwać, że mnie pokochasz, ale...

- Kocham!

Mariah zawsze kojarzyła święta Bożego Narodzenia z ciszą, skupieniem i oczekiwaniem. Ale także z nadzieją i radosnymi niespodziankami.

Rhys gwałtownie wciągnął powietrze. A potem w trzech suwach przemierzył pokój i ukląkł przy jej fotelu. Objął ramieniem ją i Elizabeth. Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi i po prostu zapłakał.

Mariah też płakała. Słone łzy spadały na policzek Elizabeth.

- Kocham cię, kocham, kocham... - powtarzała w kółko, a Rhys jej wtórował.

W końcu się od niej oderwał. Długą chwilę patrzyli na siebie z uśmiechem. Mariah wytarła łzy z jego twarzy, on zrobił to samo. Potem spojrzął na Elizabeth, która przez cały czas ssała pierś, zachowując całkowitą obojętność, a teraz ze zdumieniem patrzyła na swego ojca.

- Jest już wielka - rzekł tonem autentycznego podziwu.

- Waży ponad trzy kilo - powiedziała Mariah z dumą.

W drugim kącie pokoju odezwał się Stephen. - Możesz mi go podać? - zwróciła się do Rhysa.

Rhys stał jak oniemiały, potem wolno skinął głową. Podszedł do kołyski i bardzo ostrożnie, delikatnie podniósł swego syna.

- W jaki sposób...? - Gestem głowy pokazał Elizabeth, a potem Stephena, najwyraźniej zastanawiając się, jakim cudem Mariah zamierza zająć, się obojgiem.

Nie miała takiego zamiaru.

- Teraz potrzymaj ją - powiedziała, gdy podał jej Stephena. - Poklep ją po plecach. Musi beknać. Połóż sobie pieluszkę na ramieniu...

Rhys jedną ręką umieścił pieluszkę, a drugą poklepał córkę po plecach. W nagrodę usłyszał ciche beknięcie.

- Udało się! - zawołał z rozbajającym uśmiechem.

Mariah roześmiała się również. Ale po jej twarzy spłynęło kilka łez szczęścia.

Rhys chodził po pokoju, nadal poklepując Elizabeth po plecach, podczas gdy Mariah karmiła Stephena. Pracowali jak w zgranym zespole. Potem pokazała Rhysowi, jak należy przewijać dzieci. Był pojętym uczniem. A gdy stali razem nad kołyską, poczuła, że Rhys zaciska palce na jej dłoni.

- Co jest w tej paczusce? - spytała po chwili.

Rhys podniósł z podłogi pudełko i podał jej.

- Otwórz - powiedział.

- Nie muszę czekać do Gwiazdki?

- Mam nadzieję, że nie.

Zerwała szybko papier i uchyliła wieczko.

W pudełku był miś-strażak ubrany w kombinezon, kask i żółte buty. A do misia przyczepiony był pierścionek z karcetką: „Czy wyjdiesz za mnie?”.

Podąła Rhysowi pierścionek, a potem wyciągnęła dłoń.

. - Założysz mi go na palec? - spytała, patrząc nań oczami pełnymi miłości.

Założył.

Gdy kochał się z nią po raz pierwszy, miłość zrodziła się z bólu. I pod wieloma względami była miłością piękną i ozdabiającą. Teraz postanowił, że będzie kochać ją z radością i namiętnością, a zarazem czule i delikatnie.

- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy pewnego zimowego popołudnia, poprosiwszy teściów, by popilnowali dzieci, porwał ją za miasto.

Uśmiechnął się pod nosem. Wszystko dokładnie zaplanował. Znalazł romantyczną chatę na farmie położonej w zupełnej głuszy. Doskonałe gniazdko dla pary kochanków.

- Zaufaj mi - powiedział tajemniczo.

Zaufała.

- Rozpal ogień - powiedziała, gdy już dotarli do celu. - Pościelę łóżko.

- Łóżko jest już pościelone - odparł.

Był tu dziś rano, przywiózł kieliszki do szampana oraz kolację, którą miał zamiar podać. Ale na razie wcale nie był głodny.

- Jesteś głodna? Masz na coś ochotę? - zapytał.

- Na ciebie - powiedziała, kładąc mu ręce na piersi.

Ledwie zdążyli dojść do łóżka. To tyle, jeśli chodzi o czułość i delikatność... Została jedynie namiętność. O Boże, co za namiętność!

A później, o wiele później, rozpalili ogień w kominku. W nich samych ogień płonął od dawna - jasnym, gorącym płomieniem. Przygotowali kolację i wypili szampana. A jeszcze później znów zaszyli się pod kołdrą i Mariah oparła głowę na piersi mężczyzny, którego kochała.

Kreśliła małe kółka na skórze Rhysa, a on drżał pod dotykiem jej palców.

- Szukasz kłopotów - zażartował, uśmiechając się błogo, gdy przesunęła dłoń niżej.

- Naprawdę? - Była bardzo szczęśliwa. Niewyobrażalnie szczęśliwa.

Tym razem szybko i gwałtownie ugasili pożądanie.

- Byłeś cudowny - szepnęła mu do ucha, otaczając go ramionami. - Jesteś cudowny. Ugasiłeś we mnie ogień.

Rhys podniósł się na łokciach i spojrzał na nią z góry.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział niskim głosem, a potem pochylił się i znów pocałował ją w usta. - Mam nadzieję, że ten ogień nigdy nie zgaśnie.